

Poznaj Świat

7

2015

Cena 10.90 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

str. 32

TUNEZJA

DROMADEREM PRZEZ GALAKTYKĘ

str. 24

HISZPANIA

ŚWIETLISTA FORMENTERA

RPA
UTAJNIONE
W BUSZU

str. 62



NOWA ZELANDIA STR. 14
KRATEREM DO TURYSTY

SZWECJA STR. 44
GÖTEBORG JAK HEAVY METAL

PERU STR. 54
GDZIE PTAKI ZIMUJĄ

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



Targ w Tozeur

Kolacja na Saharze w Douz

Sceny prezentowane w reklamie to wizja artystyczna nieprzedstawiająca rzeczywistych obiektów znajdujących się w wybranych miejscach.

Tunezja
www.tunezja.org.pl

JADĘ TAM.



NOWA ZELANDIA str. 14



TUNEZJA str. 22



KOSTARYKA str. 88



SZWECJA str. 44



PERU str. 54

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników

NOWA ZELANDIA str. 14

Biała Wyspa to czynny wulkan. Do jego krateru można wejść, by doświadczyć piekła na ziemi.

Zdzisław Preisner

HISZPANIA str. 24

Formentera to idealny kierunek dla tych, którzy chcą odpocząć, „hamakując”, spacerując po plaży i nurkując w przejrzystych wodach Morza Śródziemnego.

Zuzanna Grochulska

TUNEZJA str. 32

Kto by się spodziewał, że na grzbiecie wielbłąda można dotrzeć w najdalsze zakątki Wszechświata?

Marcin Kołpanowicz

GEOSKOP str. 40

SZWECJA str. 44

Port o serdecznym usposobieniu? Miasto robotnicze pełne nienaganych kamieniczek i kawiarenek? Jaka jest zagadka Göteborga?

Sławomir Kozdraś

TURYŚCI I INNE PRZYPADKI str. 52

Przyjaciele po kres (wakacji).

Felieton Marty Natalii Wróblewskiej

PERU str. 54

Wizyta na Islas Ballestas jest jak powrót do Edenu – tu niepodzielnie rządzą zwierzęta. **Magdalena Żelazowska**

RPA str. 62

Praca weterynarza w jednym z najstarszych parków Afryki nie należy do bezpiecznych, ale daje ogromną satysfakcję.

Natalia Roźniewska

FOTOGRAF W DRODZE str. 70

A może morze?

Felieton Mikołaja Gospodarka

POLSKA str. 72

Swołowo to stolica „Krainy w kratę” – niemal wszystkie domy tam są konstrukcji szachulcowej. **Maria Giedz**

NAVIGATOR str. 80

POZNAJ ZWYCZAJ str. 84

Miłość w Jinjiang.

Adam Juchniewicz

KOSTARYKA str. 88

Pura vida, co można przetłumaczyć jako „pełnia życia”, to motto i codzienność mieszkańców tego kraju. **Anna Książek**

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

INDONEZJA str. 96

Religia świętej wody.

Katarzyna i Marcin Paczek

Z PERSPEKTYWY str. 104

241 białych niedźwiedzi.

Felieton Ryszarda Badowskiego

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 106

OUTDOOR str. 108

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112





Jan Skwara

INDIE

Wyścigi po byku

Kambala, czyli tradycyjne wyścigi bawołów, to niezwykle popularna rozrywka w południowej części indyjskiego stanu Karnataka. Każdego roku odbywa się ponad 45 zawodów, zarówno w wielkich miastach, jak i w małych wioskach. Ogląda je czasem nawet 20 tysięcy widzów. Najszybsze bawoły otaczane są niemal boską czcią. Pierwotnie Kambala była formą dziękowania bogom za plony i zdrowie zwierząt. Obecnie biegi odbywają się w dwóch równoległych torach, co umożliwia bezpośrednią rywalizację. Tory wypełnione są wodą, aby podnieść widowiskowość, a także nawiązać do historii, kiedy to Kambala odbywała się na zalanych ryżowych polach.

FUNDACJA
KADRY ZE ŚWIATA

Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA. Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci. Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL

KADR ROKU 2015

Jak powstaje

szkło w Północnych
Czechach?



www.czechtraditions.com



Darmowa aplikacja „Czeskie tradycje”
na iPhone’a lub Androida.

Odkryj tajniki rzemiosła północnoczeskich szklarzy, którzy jednym dmuchnięciem potrafią wytworzyć kruche i delikatne szkło. Subtelna biżuteria i lśniące krystalowe żyrandole zmieniają się w rękach najlepszych czeskich projektantów w dzieła sztuki. Zależy tylko od Ciebie, któremu z nich pozwolisz się oczarować. Odwiedź małe pracownie artystów i wybierz szklankę, w której Twoje ulubione wino nabierze wyśmienitego smaku.

Inspirację znajdziesz na www.czechtraditions.com.
Odkryj piękno Północnych Czech.

Poznaj czeskie tradycje wszystkimi zmysłami!

Poznaj smaki Regionu Pilzneńskiego

Zapraszamy do odkrywania pięknych, czeskich tradycji, wyjątkowych na skalę światową.

Delektuj się słynnym piwem

Niemal 800 lat sięga tradycja warzenia piwa w zachodnich Czechach. Tylko wtajemniczeni znają tajną recepturę wyrobu tego napoju z goryczką, o pięknej, złocistej barwie i niebiańskim, chmielowym zapachu. Rozkoszuj się piwem najwyższej jakości, którego sława już dawno przekroczyła granice Czech i Europy.

To właśnie tutaj narodziło się światowej sławy piwo, które w 1842 roku uwarzył bawarski piwowar Josef Groll. Już wówczas pilzneńskie piwo zachwycało swą piękną, złotą barwą, gęstą śnieżnobiałą pianą i wyjątkowym smakiem. Na pamiątkę tego wydarzenia, każdego roku na dziedzińcu tutejszego browaru odbywa się święto piwa.

Tajemnice produkcji piwa od najdawniejszych czasów aż po współczesność, sposób serwowania i picia prezentuje Muzeum Piwowarstwa w Pilźnie, mieszczące się w zabytkowym budynku z XV wieku. Tradycje produkcji piwa w regionie pielęgnuje także kilka tutejszych minibrowarów.

Poznaj miejscowe tradycje

Pilzno to jednak nie tylko stolica najśłynniejszego piwa świata. To także miasto słynące z ciekawych imprez kulturalnych, a w roku 2015 Europejska Stolica Kultury.

Jednym z filarów życia kulturalnego w Pilźnie jest lalkarstwo. Historię i największe osobistości czeskiego lalkarstwa prezentuje tutejsze Muzeum Kukiełek.

Na wschód od Pilzna leży tajemnicza kraina Czeskiego Lasu, słynąca z tradycji wydobywania srebra, sięgającej 800 lat. W mieście Stříbro warto odwiedzić

Muzeum Górnicze, z ekspozycją zewnętrzną, przybliżającą zwiedzającym techniki wydobywania srebra. Największą atrakcją Muzeum Miejskiego w Stříbrze jest wielka kolekcja srebrnych monet, licząca 1510 sztuk, pochodząca z XIII wieku.

Miłośników żywych tradycji ludowych zapraszamy do odwiedzenia Chodska. Do dziś są w tym regionie pielęgnowane różne rzemiosła ludowe, jak na przykład koronkarstwo, wyrób ceramiki ludowej z typowym chodskim wzorem, czy tradycyjny folklor. W mieście Domažlice w sierpniu odbywa się jeden z najstarszych festiwali folklorystycznych w Czechach, Uroczystości Chodskie. Warto zobaczyć także bogate zbiory etnograficzne w Muzeum Chodska w Domažlicach, prezentujące historię regionu i jego tradycji.

Daj się uwieść niepowtarzalnej atmosferze Regionu Pilzneńskiego, poznawaj czeskie tradycje wszystkimi zmysłami!

www.czechtraditions.com





© CARLOS PEREZ NAVAL, HISZPANIA, „Żądło w słońcu”

Carlos Perez Naval, Hiszpania

HISZPANIA

Żądło

Bardzo jadowity skorpion polny żywi się insektami, a nawet innymi skorpionami. Aby złapać ofiary, używa szczypców lub kleszczy. Miażdży swoją zdobyczą lub wstrzykuje jej neurotoksyczny jad, gromadzony w zakończeniu ogona. Osobnik ze zdjęcia, świadom obecności fotografa, ostrzegawczo wywijął żądłem.

KATEGORIA
Do 10 lat / SEKCJA: PIERWSZE ZDJĘCIA
ZWYCIĘZCA

ZDJĘCIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2014, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 3 DO 30 LIPCA 2015 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W PŁOCKEJ GALERII SZTUKI W PŁOCKU, PRZY UL. SIENKIEWICZA 36. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

GDZIEKOLWIEK JESTEŚ, CZUJ SIĘ BEZPIECZNIE. W KAŻDEJ SYTUACJI.



ROZPRUWACZE
panele odporne
na przecięcia



KOSIARZE
paski odporne
na przecięcia



**OCHRONA
TOŻSAMOŚCI**
chroni karty kredytowe
i paszporty
biometryczne przed
zeskanowaniem



KIESZONKOWCY
sprytnie
zabezpieczenie
zamek i kłap



KOSIARZE
paski odporne
na przecięcia



WYRYWACZE
karabinki,
klipsy,
zamknięcia



ROZPRUWACZE
panele odporne
na przecięcia

Pacsafe to jedyna marka na świecie, która oferuje torby, plecaki, szaszetki, portfele i inne akcesoria podróżne, wyposażone w opatentowane zabezpieczenia przed kradzieżą. Z Pacsafe ochronisz nawet zbliżeniowe karty płatnicze przed kradzieżą danych dzięki technologii RFIDsafe.



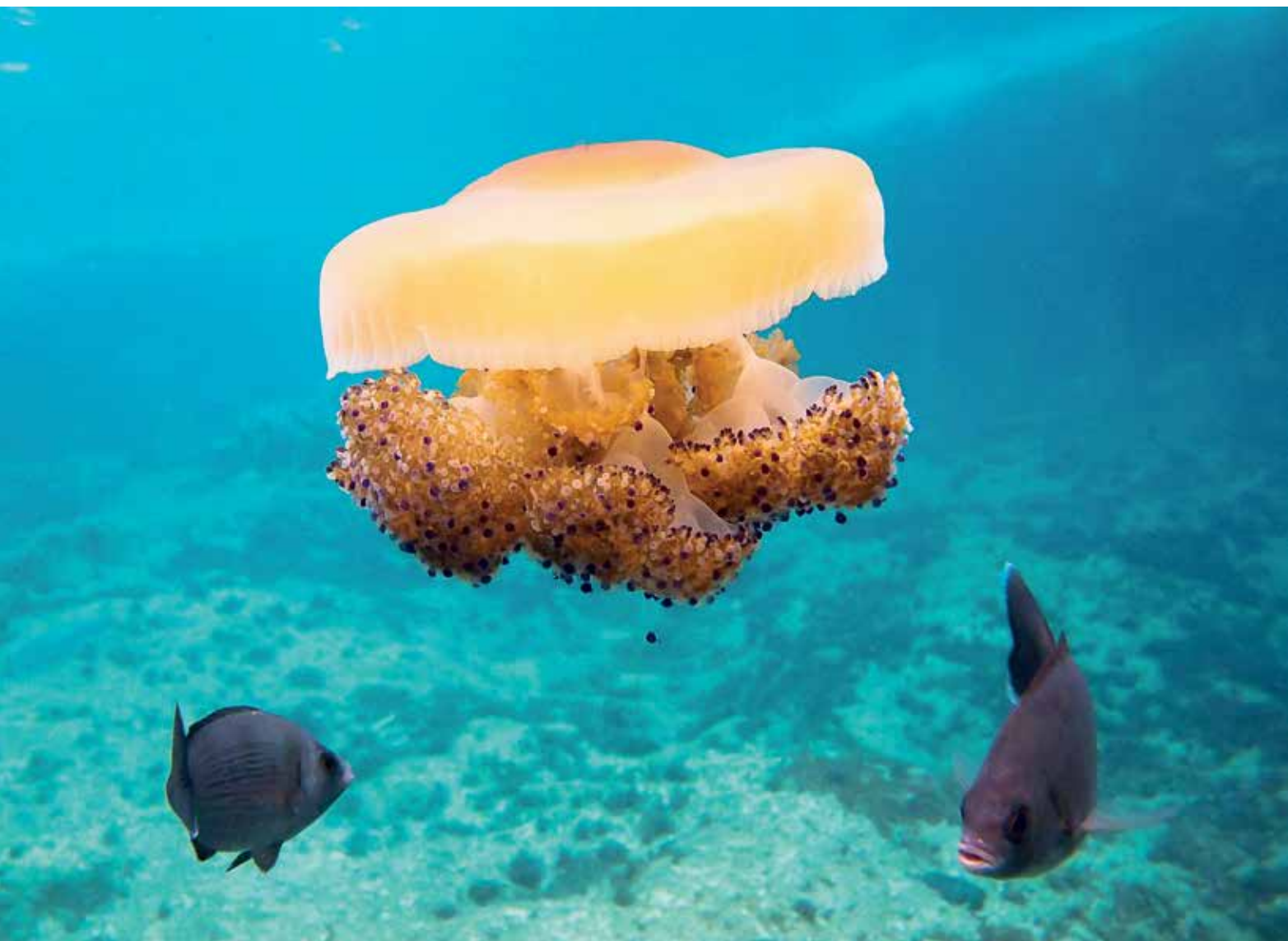
Zdjęcie pochodzi z galerii Fundacji KADRY ZE ŚWIATA.
Można je kupić i pomóc spełnić podróżnicze marzenia dzieci.
Szczegóły na WWW.KADRYZESWIATA.PL

Agnieszka Roztropowicz

MALTA

Sadzone pod wodą

Cotylorhiza tuberculata to gatunek meduzy występującej głównie w morzach: Śródziemnym, Egejskim i Adriatyckim. Popularnie zwana jest śródziemnomorską galaretką lub meduzą sadzonym jajkiem. Jej średnica może sięgać 35 centymetrów. Poparzenie nie jest groźne, ale dość bolesne.



Pascal

Pokręć się po świecie!

Wygraj weekendowy wyjazd dla dwóch osób do europejskiej metropolii.

Na zwycięzców czeka 8 voucherów - każdy o wartości 4 tys. zł - renomowanego biura podróży Itaka.

Voucher umożliwia realizację weekendowego wyjazdu dla dwóch osób do europejskiej metropolii (m.in. Rzym, Paryż, Barcelona, Mediolan).

Aby wziąć udział w konkursie:

- kup dowolny przewodnik Pascala w sieci salonów Empik w dniach 17.06-11.08.2015 r. i zachowaj paragon,
- rozwiń slogan reklamowy promujący przewodniki „Pokręć się po świecie... [tutaj wstaw swoją propozycję na dokończenie hasła]”, np. „Pokręć się po świecie, bo zakreconym żyje się lepiej!” i wyślij go SMS-em na nr 4455, wpisując prefiks PASCAL, a następnie swój slogan reklamowy, np. „PASCAL bo zakreconym żyje się lepiej!”.
- po wysłaniu SMS-a otrzymasz potwierdzenie w formie zwrotnej wiadomości, a Twój nr telefonu zostanie zarejestrowany w bazie konkursowej.

Nagrody w konkursie będą przyznawane przez komisję konkursową, składającą się z pracowników organizatora, która oceni nadesłane hasła konkursowe, i wytypuje osiem najlepszych spośród nich.

Więcej informacji na
www.info.pascal.pl





Jerzy Wittek

POLSKA

Kwietnik w tulipanie

Pająka kwietnika (*Misumena vatia*) charakteryzuje zdolność do zmiany ubarwienia – dostosowuje je do miejsca, w którym przebywa, a także do rodzaju owadów, na które poluje. Może przybrać barwę białą, żółtą lub brązową. Kamuflaż ułatwiają mu czasami czerwone pasy na odwłoku. Na swoje ofiary czatuje w kwiatach i na liściach drzew.



Bogusław
Szczepański

POLSKA

Mahonia uczy fizyki

Liść mahonii z przydomowego ogródka sfotografowany chwilę po burzy. Krople wody złączyły się w jego zagłębieniach, pokazując skutek działania sił spójności (czyli inaczej sił napięcia powierzchniowego). Widać, że są one większe od sił przylegania – kropla nie rozlewa się po powierzchni liścia, lecz tworzy kształt zbliżony do kuli. Na łądydze można natomiast dostrzec efekt załamania światła. Oto jak wprost po deszczu trafiamy na lekcję praktyczną z fizyki. Mahonia to roślina ozdobna, ale jej jagody można przerabiać na galaretki lub kompoty, a dawniej jej kwiatów używano jako środka w barwiarstwie – nadawały tkaninie złotożółtą barwę.

Prześlij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



REGATTA 
GREAT OUTDOORS®

RUSZ SIĘ

WSPIERAMY
TWOJE
WYDARZENIE
www.ruszsie.org



Kraterem

Zdzisław Preisner

Mijamy skalne wysepki i po niedługim czasie na horyzoncie rysuje się czarny skrawek lądu z białym słupem dymu. To cel naszej podróży – Biała Wyspa. Poziom emocji rośnie, kiedy zbliżamy się

do turysty



do szerokiej na kilkaset metrów rozpadliny w stożku wulkanicznym. To właśnie ona umożliwia łatwy dostęp do wypełnionego białymi oparami wnętrza krateru, co jest ewenementem w skali światowej.

Jest piękny słoneczny dzień. Wczoraj wieczorem dotarliśmy naszymi dwoma kamperami do niewielkiej miejscowości Whakatane położonej nad Zatoką Obfitości (Bay of Plenty) na nowozelandzkiej Wyspie Północnej. Właśnie z tutejszego małego portu wyruszają turystyczne wyprawy na White Island. Wyspa jest jedynym czynnym wulkanem spośród nowozelandzkich. To dosyć kosztowna wycieczka (200 dolarów NZD), trwająca 6-7 godzin. Płyniemy szybkim stateczkiem, który na pokład zabiera kilkadziesiąt osób. Każdego roku, począwszy od drugiej połowy lat dziewięćdziesiątych, Białą Wyspę odwiedza ok. 10 tysięcy osób.

PARUJĄCA WYSPA

Pierwszym Europejczykiem, który zbliżył się do jej brzegów, był niezwykle zasłużony dla eksploracji różnych regionów Pacyfiku angielski żeglarz James Cook. 1 października 1769 roku dostrzegł na horyzoncie mały skrawek ziemi, nad którym unosiły się kłęby białej pary. Podpłynął bliżej, nie podjął jednak ryzyka wylądowania. Wybrzeże było trudno dostępne, głównie klifowe, zbudowane z law, popiołów i pyłów wulkanicznych.

Wyspa położona jest 48 km na północ od wybrzeży Zatoki Obfitości. Ma 2 km średnicy, kształt owalny i wznosi się 321 metrów nad poziom morza. Około 30 proc. masy wulkanu sterczy powyżej powierzchni oceanu, pozostałe 70 proc. zalega poniżej. Wulkan jest typowym stratowulkanem andezytowym, który rozpoczął swoją wędrówkę ku powierzchni oceanu



FOT. ZDZISŁAW PREISER



przed 200 tysięcy laty. Kolejne erupcje podnosiły poziom krateru, aż ten wyłonił się nad wodami błękitnych wód około 16 tysięcy lat temu. Od tego czasu nieprzerwanie jest czynny.

Maorysi, którzy zasiedlili wyspy Nowej Zelandii osiem wieków temu, nazwali wyspę Te Puia Whakaari, co oznacza mniej więcej „natura uczyniła ją lepiej widoczną”. I to jest prawda. Unoszący się wysoko słup pary i gazów sprawia, że z dużej odległości jest lepiej widoczna.

Mamy szczęście, stan morza pozwala naszej łodzi na wypłynięcie. Należy ona do firmy, która ma zgodę właścicieli wyspy na jej odwiedzanie. Od 1936 roku jest ona w rękach rodziny Buttle. Przed wyprawą dopełniłmy jeszcze ważnej formalności – podpisania dokumentu, z którego wynikało, że uczestnicy

wycieczki są świadomi ryzyka, jakie podejmują, udając się do krateru czynnego wulkanu. W czasie rejsu trwającego ponad półtorej godziny obserwujemy stada delfinów, liczące po kilkadziesiąt osobników, poruszające się wraz ze statkiem, zgrabnie wyskakujące ponad fale, płynące tuż przed jego dziobem. Dostrzec też można latające ryby, niczym ogromnych rozmiarów ważki majestatycznie unoszące się przez kilka sekund ponad wodą.

WULKAN OTWARTY NA LUDZI

Nasz stateczek zatrzymuje się na kotwicy kilkadziesiąt metrów od brzegu. Przesiadamy się do pontonów, które przybijają do małego betonowego i mocno już zniszczonego mola.

PIEKŁO SIARCZYSTE

Wycieczka do przedsionka piekła, które nie zawsze jest czerwone lub czarne. Tutaj opary duszących wyziewów, a także pobliskie zbocza, mają kolor siarki.





**JESZCZE JEDEN
DESANT DZISIAJ**

Przybywa kolejna
grupa żądnych
wrażeń turystów,
wyposażona w żółte
kaski i maski do
oddychania.



FOT. ZDZISŁAW PRESNER

WYSPA JAK MALOWANIE

„Biała” jest tylko z nazwy.
W zbliżeniu na wyspie
ujawnia się bogactwo barw
– zastygłych law
i niskopiennej roślinności.



FOT. ZDZISŁAW PREISNER



FOT. ZDZISŁAW PREISNER

STRUKTURA KRYSZTAŁU

Wydobywające się gazy zawierające związki różnych minerałów w kontakcie z powietrzem krystalizują, tworząc fantazyjne formy i kolory.

Firma wyposażyła nas w żółte kaski ochronne oraz maski chroniące system oddechowy przed szkodliwymi gazami i wyziewami emitowanymi w kraterze. W kilkunastoosobowych grupach, pod kierunkiem przewodnika, wyruszamy na dwugodzinną wędrowkę po urozmaiconym pagórkami, zasypianym pyłami, popiołem oraz większymi okruchami dnie krateru. Prawdziwa wyprawa do przedsionka piekła.

Miejsce bez wątpienia wyjątkowe, jedyne w swoim rodzaju na świecie, bo stosunkowo łatwo dostępne dla turystów. Pozwala na oglądanie wnętrza wulkanu bez wspinania się po zboczach stożka, a potem ewentualnego schodzenia do krateru, co prawie nigdzie nie jest możliwe ze względu na gaz czy temperaturę lawy. Trzeba udać się aż na kraniec świata, do Nowej Zelandii, aby przeżyć taką niezwykłą przygodę.

Niewielki odcinek plaży przy moło zasłany jest pyłami wulkanicznymi, przemywanymi przez morskie fale. Wszędzie zalegają większe różnokolorowe otoczaki z dominacją krwistej, żelazistej czerwieni. Pomimo tak niesprzyjającego dla żywych organizmów środowiska na plaży widać gromady mew. Przybrzeżna wyrwa w kraterze ma około 400 metrów szerokości. Po jej zachodniej stronie, tuż nad plażą, wznosi się potężna ściana, wysoka na kilkadziesiąt metrów, zbudowana ze skał magmowych poprzedzielanych warstwami pyłów wulkanicznych. Kolorystyka niezwykła.

W środkowej partii rozpadliny wznosi się skalny masyw, który swoim kształtem przypomina nasz tatrzański Giewont, tyle że głowa ryce-rza jest po lewej stronie. Ściana od strony krateru jest bardzo stroma. Budują ją kolorowe popioły i pyły wulkaniczne. Nieco dalej na wschód wznosi się kolejny masyw, znacznie jednak mniejszych rozmiarów, w kształcie poszarpanej piramidy. Po wschodniej stronie krateru ściana ma około 200 metrów wysokości ponad jego dno. Jej powierzchnia porożcinana jest głębokimi na kilka metrów bruzdami. Dominuje kolor zielony, przeplatany czerwienią, żółcią, a także wielkimi białymi plamami.

Podążamy za przewodnikiem w głąb krateru. W odległości około 700 metrów wznosi się wysoko północna ściana, zamykająca krater. Jej jasny kolor, z odcieniami szarości, żółci i bieli, przysłaniają przemieszczające się przed nią kłęby pary i gazów, pochodzących z najbardziej gorących miejsc tej części krateru.



FOT. ZDZISŁAW PRZESNER

HISTORIA PEWNEJ ERUPCJI

Najpierw opadły pyły i popioły wulkaniczne, które następnie ugięły się pod ciężarem napływających później law.

ZATOPIENI W POPIELE

Po krótkim marszu podchodzimy pod wschodnią ścianę, u podnóża której w białych i duszących oparach widać żółte pola zbudowane z siarki. Cała strefa ciągłej aktywności złożona jest z większych i mniejszych kopców, pochylonych powierzchni i grzęd zbudowanych z kryształów siarki mających formę drobnych igiełek. To właśnie w tym miejscu znajdowała się kopalnia, której eksploatację zakończono w 1930 roku.

10 września 1914 roku miało tu miejsce tragiczne wydarzenie. Grupa górników, która zamieszkiwała małe osiedle położone tuż

przy plaży, jak co dzień udała się do pracy. Duża część ściany skalnej przesyconej wodami opadowymi, wznoszącej się nad miejscem eksploatacji siarki, gwałtownie zsunęła się w dół. Na dnie krateru materiał wulkaniczny złożony z pyłów, popiołów i skalnych lawowych okruchów przybrał formę laharu (błotnego spływu popiołów). Płynący jezior szybko ruszył ku rozpadlinie w dnie krateru. Cała grupa 11 górników została pochłonięta przez rozpędzony żywioł. Wszyscy zginęli, a ich ciała nigdy nie odnaleziono.

Lahar zniszczył zabudowania, osiedla, maszyny do przetwarzania urobku. Kata-



FOT. ZDZIŚLAW FARBNER

strofę przeżył tylko pies, który uciekł w stronę wzniesienia pod zachodnią ścianą, gdzie znaleziono go po kilku dniach. Wznowiona w 1923 roku eksploatacja trwała jeszcze przez siedem lat. Górnicy nie mieszkali już jednak w kraterze, dopływali do pracy łodzią z osady położonej w pobliżu. W tej części krateru do dzisiaj powierzchnia dna jest nierówna, liczne pagórki, głazy i skalne okruchy są pozostałością tamtej katastrofy.

Oglądamy niezwykle miejsce aktywności związków siarki. Trzeba używać masek, gdyż oddychanie jest bardzo niebezpieczne. Gęste opary są duszące, w powietrzu unoszą się drobinki, które uderzają w odkryte części ciała. Są szczególnie groźne, gdy trafiają do oczu. Dobrze założyć tutaj okulary ochronne lub chociaż przeciwsłoneczne.

Idziemy dalej, w głąb krateru, do krawędzi rozległego zagłębienia wypełnionego wodą koloru zielonkawego o temp. 65°C. Głębokość zbiornika przekracza 40 metrów, a jego dno leży ponad 10 metrów poniżej poziomu morza. Ten najmłodszy wylot krateru powstał w latach 1981-83. Ze zmiennym nasileniem wydobywają się z niego gazy, głównie para

wodna, ale też dwutlenek węgla, dwutlenek siarki i gazy chlorkowe i fluorowe. Gazy te w połączeniu z wilgocią w powietrzu tworzą kłęby unoszące się nad zbiornikiem. Dłuższe przebywanie w ich obecności działa szkodliwie na skórę. Mogą też nawet uszkodzić kamery filmowe, fotograficzne i inne elektroniczne urządzenia. Temperatura gazów wynosi od 100 do 800°C. Trzeba zwracać uwagę na kierunek wiatrów. Gwałtowny powiew w naszym kierunku mógłby być niebezpieczny.

Wracamy do środkowej partii krateru. Tu i tam widać dymiące otwory otoczone żółtą siarką. W niewielkich zagłębieniach wypełnionych szarym bulgoczącym błotem emisja gazów wyrzuca je w górę. Tworzą się pierścienie, pękają bąble, błotko żyje swoim rytmem. Powierzchnia dna krateru porozcinana jest przez cieki gorącej wody przesyconej związkami chemicznymi. Na ścianach ich koryt widać kolory wytrącających się związków. Krater żyje, zmienia się, powstają nowe miejsca aktywne, inne zanikają. Każdego dnia uwalniania się tu od kilkuset do kilku tysięcy ton gazów o średniej temperaturze 200°C.

WODA PRZEZ MĘKĘ

Strutki przesyconej związkami chemicznymi wody z mozołem przebijają sobie drogę między wieloma przeszkodami, jakie tworzy materia wypełniająca krater.



FOT. ZDZISŁAW PRESNER

RDZA ZŻERA STARE ZELASTWO

Przed stu laty tętniło tu życie. Tylko tyle pozostało z górniczego osiedla po przejściu jężora laharu, złożonego z uwodnionych pyłów i popiołów wulkanicznych. Aktywne związki zawarte w powietrzu stopniowo pożerają urządzenia przetwarzające kiedyś wydobywaną siarkę.



FOT. ZDZISŁAW PRESNER

SĄSIEDZTWO PÓD KONTROLĄ

Powoli kończy się nasza wizyta w środku wulkanu. Mieliśmy szczęście, był dla nas łaskawy – nie wykazał wzmożonej aktywności, która zdarza mu się kilka razy w roku. Zainstalowane przez naukowców kable na ścianach krateru pozwalają na monitorowanie wstrząsów. Obserwuje się również natężenie emisji gazów oraz ich skład chemiczny. Dane z pomiarów przekazywane są elektronicznie do stacji badawczej w Rotorua, ponad 100 km na południe. Gdyby jednak coś gwałtownego miało się wydarzyć, to mimo ostrzeżenia czasu na ewakuację mogłoby zabraknąć. Stan codziennego alertu to wartość 1-2 w pięciostopniowej skali. To mówi samo za siebie.

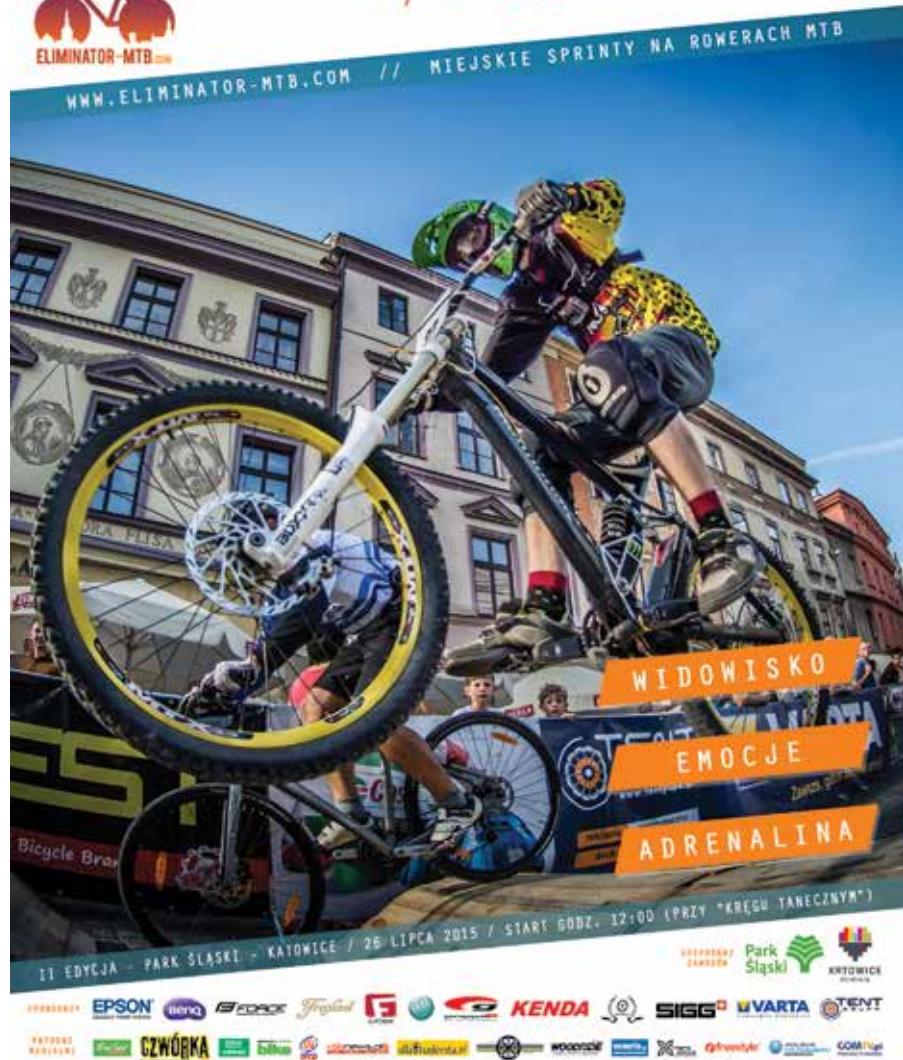
Co kilka lat zdarzają się większe erupcje, podczas których White Island wyrzuca blisko milion metrów sześciennych popiołów, których słup sięga kilku kilometrów wysokości. Parę razy w ciągu ostatnich 30 lat wiatr przyniósł

popioły na wybrzeże Zatoki Obfitości. Następowo to wtedy, kiedy przeciążony słup zaczął opadać w dół, a wiatr przemieszczał pyły ku wschodowi. Na dachach domów i w zbiornikach z wodą osadzała się cienka warstwa wulkanicznego pyłu. Na szczęście nie ma dowodów geologicznych na katastrofalne oddziaływanie wulkanu na wybrzeża Wyspy Północnej. Nie zdarzyło się także tragiczne tsunami.

Trzeba jeszcze odwiedzić zniszczone przez lahar zabudowania górniczej osady. Zachowało się kilka betonowych ścian budynków o mocno przerdzewiałych fragmentach konstrukcji, także kilka beczek i urządzeń do przetwarzania siarki. Ta wymarła od 100 lat osada sprawia niesamowite, przygnębiające wrażenie, szczególnie kiedy wyobrażamy sobie, co się tutaj wydarzyło.

Ostatni etap naszej wyprawy to opłynięcie wyspy wokół. Poszczególne odcinki brzegu są różne – widać pofałdowane warstwy lawy, pionowe klify zbudowane z pyłów i popioły różnych kolorów. Miejscami, na łagodniejszych zboczach, porasta trawa i gęsta krzewiasta roślinność.

W końcu odpływamy na południe. Za nami pozostaje poszarpany stożek wulkanu Białej Wyspy, nad którym unosi się słup białej pary. Tak zapewne widział wyspę James Cook prawie 250 lat temu. Teraz już tylko czas na lunch. W pakiecie – kanapki, owoce i butelka wody mineralnej. ○



R E K L A M A

GRZECZNY WULKAN, GRZECZNY

Grupa toruńskich podróżników na tle celu swojej podróży. Tym razem wulkan był łaskawy – dał się obejrzeć, nie strasząc wzmożoną aktywnością.



FOT. ZDZISŁAW PREISNER



Zdzisław Preisner

Geograf, podróżnik, wydawca i fotograf, wykładowca akademicki. Był na wszystkich kontynentach, odwiedził ponad 120 krajów. Członek rzeczywisty Polskiego Oddziału The Explorers Club w Nowym Jorku i Royal Geographical Society w Londynie.

Świetlista



FOT. SHUTTERSTOCK

Zuzanna Grochulska

Formentera



W ciągu czterech tysięcy lat Formenterę zamieszkiwali Grecy, Fenicjanie, Rzymianie, Maurowie, Katalończycy, piraci i hiszpańscy rolnicy. Wszyscy szanowali jej delikatną przyrodę, toteż przez tysiąclecia utrzymywała stan wiejskiej sielskości. Ta niewielka wyspa należąca do Balearów, otoczona turkusowym morzem i porośnięta alpejskimi sosnami, położona jest zaledwie 20 kilometrów od Ibizy. Spokojna Formentera, która liczy zaledwie 83 kilometry kwadratowe i 7 tysięcy stałych mieszkańców (latem liczba przebywających na niej rośnie do 50 tysięcy), ma jednak niewiele wspólnego ze swoją rozrywkową sąsiadką. To idealny kierunek dla tych, którzy chcą odpocząć, „hamakując”, spacerując po plaży i nurkując w przejrzystych wodach Morza Śródziemnego.

WŁADCY SOLI I POZYTYWNA POSIDONIA

Tu czas spowalnia. Większość tras na wyspie to piaszczyste drogi. Takie miejsca są już prawie niespotykanym luksusem w Europie. Wiedzą o tym dobrze mieszkańcy, nie lubiący pośpiechu ani tłumów, świadomie przeciwsta-

wiający się rozbudowie dróg i dużych hoteli. Nie ma tu na razie centrów handlowych, parków rozrywki czy wielkich kompleksów hotelarskich. W zamian Formentera ma do zaoferowania przyrodę w dziewiczym stanie, a także widoki – na sady fig i pomarańczy, na małe winnice i pola poprzedzielane murkami od wieków układanymi w taki sam sposób, i na nieduże pobielane domki, które doskonale pasują do otaczającego krajobrazu.

Jednym z powodów, dla których nie została zabetonowana i zanieczyszczona, jest ukształtowanie jej powierzchni, które nie pozwala na zbudowanie lotniska. Ogranicza to napływ turystów. Jedyne sposoby dostania się tutaj to prom z Ibizy do portu La Savina, gdzie znajduje się też większość wypożyczalni samochodów i motocykli. Ale głównym środkiem transportu na wyspie są skutery i rowery, bo gros szlaków, które prowadzą ku najciekawszym plażom, jest trudnych do przejechania nawet dla motoru. Odległości pomiędzy poszczególnymi miejscowościami nie prze-

Błękit otaczających ją wód kontrastuje z ciemną zielenią sosnowych lasów i złocistymi odcieniami pól. Wszystkie kolory wydają się tu jaskrawsze i bardziej wyraziste, więc nazywają ją „la isla luminosa”, czyli świetlista wyspa.

kraczącą pięciu kilometrów, tylko odcinek łączący La Savina i miasteczko El Pilar de la Mola liczy 17 kilometrów. Dla rowerzystów przygotowane zostały też trasy zwane „zielonymi ścieżkami”. Prowadzą one polnymi drogami przez najbardziej dziewicze tereny.

Przejrzystość morza sięga tu 50 metrów. To oraz śródziemnomorska pogoda pozwalają na nurkowanie bez pianki co najmniej od maja do października (średnia temperatura wody latem 30 stopni, a zimą 14). Od 1999 roku morski park naturalny Ses Salines jest wpisany na listę UNESCO, dzięki czemu lokalny samorząd może skuteczniej chronić przybrzeżną faunę i florę, a przede wszystkim posiadnię oceaniczną – morską trawę, która jest kluczem do czystości i podmorskiej różnorodności wód otaczających wyspę. Niedawno odkryto, iż posiadnia jest najstarszym żyjącym organizmem na świecie. Roślina, na jaką natknęli się naukowcy u wybrzeży wyspy, może mieć nawet 100 tysięcy lat. Posidonia znajdująca się w parku Ses Salines tworzy 78 proc. światowych zasobów tej rośliny, podwyższa przy tym poziom tlenu i naturalnie oczyszcza pobliskie wody.

Wspomniany rezerwat Ses Salines kryje w sobie wiele niesamowitych dzieł natury, które powstały wieki temu za sprawą symbiozy przyrody i działalności człowieka. Położone na północy dwa jeziora solne, Estany Pudent i Estany des Prix, wytworzyły niepowtarzalny ekosystem – solnych lagun,



ruchomych wydm, bagien i krystalicznych turkusowych wybrzeży. Otoczone roślinami słonolubnymi przyciągają dziś ponad 200 gatunków ptaków – flamingów, szcudłaków, oharów, mew śródziemnomorskich i innych.

Wiele wieków przed otwarciem Wieliczki pola solne Ibizy i Formentery zaopatrywały całą Europę. Kto posiadał saliny, miał ogromną władzę. Kartageńczycy założyli Ses Salines w V wieku p.n.e., ale Rzymianie odbili im słone królestwo w II wieku p.n.e. W XIX wieku zostały sprywatyzowane. Większość tutejszych mieszkańców pracowała przy przemyśle solnym, a produkcji zaprzestano dopiero w latach 1980. Turystyka okazała się dużo rentowniejsza. Nie można jednak zapomnieć o wartości historycznej, jaką te pola przedstawiają – wraz z kanałami, stawami, młynami i mostami stanowią nierozzerwalną część krajobrazu kulturowo-przyrodniczego wyspy.

FIGA, A JEDNAK COŚ

Ten owoc uprawia się w południowo-zachodniej części Balearów od starożytności. Dziś przeżywa tu drugą młodość, będąc m.in. składnikiem lokalnej kuchni. Drzewo figowca, obok migdałowca, dopełnia sielankowości rolniczego krajobrazu.



(S)POKÓJ Z WIDOKIEM NA MORZE

Spokój i ekskluzywność kosztuje. Tutejsza oferta kwaterunkowa jest dosyć skromna, co wpływa na ceny za noclegi. Dla zwolenników bardziej wyszukanych miejsc przy najdłuższej z plaż, Playa Migjorn, znajduje się hotel „Formentor Playa” – typowy przykład budownictwa z lat 1970., a także dużo nowocześniejszy „La Mola Riu”. W ostatnich dziesięciu latach pojawiło się kilka niedużych hoteli, które lepiej wkomponowują się w naturalny obraz piaszczystych plaż i skalistych wybrzeży. Jednym z przykładów jest położony na początku plaży Migjorn hotel „Gecko Beach Club”, w którym wykorzystano lokalne, używane od stuleci, materiały – drewno i kamień.

Najbardziej popularną formą zakwaterowania jest wynajem prywatnych mieszkań. Gdzie ich najlepiej szukać? Oczywiście blisko plaży i z widokiem na morze. To nie będzie zbyt skomplikowane, Formentera ma 69 kilometrów wybrzeża. Zdecydowanie największą

ofertę noclegową można znaleźć w najbardziej turystycznej miejscowości Es Pujols, jak również w La Savina. To tam znajduje się większość sklepików z pamiątkami, tam są wypożyczalnie sprzętu do uprawiania sportów wodnych i tam mieszczą się najszykowniejsze bary oraz odbywają wieczorne targi rzemieślnicze.

Stosunkowo niedrogie mieszkania można wynająć w stolicy wyspy, Sant Francesc de Formentera, która jest spokojnym i uroczym miasteczkiem, gdzie życie skupia się wokół głównego placu, na którym stoi kościół św. Franciszka. Jest tam również muzeum etnograficzne i parę przyjemnych barów oraz restauracji. Sant Francesc to dobre miejsce wypadowe na pobliskie, ciągnące się kilometrami, piaszczyste plaże Ses Illetes oraz Llevant.

Formentera to właśnie plaże: niektóre długie i piaszczyste, idealne na relaksujące spacerki, inne – niewielkie i ukryte w zatoczkach z tradycyjnymi przystaniami, jeszcze inne – intymne, z trudnym dostępem i skalistym brzegiem. Dobłą lokalizacją jest nadmorska okolica S'Arenal, która jest przedłużeniem plaży Migjorn, oddalona od portu i snobistycznych plaż północy. S'Arenal rozciąga się na ponad trzech kilometrach drobnoziarnistego, białego

MISS PLAŻA

Ses Illetes leży na mierzei i jest najczęściej odwiedzana przez turystów. W 2013 roku trafiła do grona najpiękniejszych plaż świata.

brzegu gdzieś gdzie przeciętego przez kamieniste zatoki. Tu także mieści się kultowy bar „Pirata Bus”, jeden z niewielu *chiringuitos*, czyli barów plażowych, które istnieją na Formenterze od dziesięcioleci. Niedaleko od S'Arenal znajduje się najpiękniejsza przystań na Formenterze, gdzie cumują *llaiüts*, typowe na Balearach drewniane statki. Piękny widok na tę niewielką zatoczkę jest z restauracji „Can Rafael”, także jednego z tutejszych „klasyków”.

FORMENTERA LADY

Miasteczko Sant Ferran położone jest niecałe trzy kilometry od Sant Francesc i na pierwszy rzut oka nie różni się od reszty malowniczych miejscowości na wyspie: plac z kościołem, niska kamienista zabudowa z drzwiami i oknami pomalowanymi na zielono, parę restauracji i barów. Jednakże Sant Ferran, który w latach 1960. i 1970. był hippisowską mekką, nadal żyje nostalgią za tamtymi czasami i wciąż przyciąga artystyczne dusze. W czwartki, piątki i soboty organizowane są targi rzemieślnicze pokrewne tym, z których

częściowo utrzymywały się „dzieci kwiaty”. W miasteczku mieści się również warsztat instrumentów muzycznych „Formentera Guitars”, gdzie przygotowywano gitary dla Pink Floyd, King Crimson i Chrisa Rea.

Po dziś dzień można napić się tu piwa w najbardziej kultowym barze „Fonda Pepe” prowadzonym przez prostego chłopca, który nawet specjalnie nie przepadał za tą gromadą dziwacznie ubranych ludzi – barze, który kiedyś stał się najmodniejszym miejscem spotkań takich postaci, jak Jimi Hendrix, Jimmy Page czy członkowie zespołu The Animals. Wielu muzyków tamtej epoki inspirowało się magią Formentery. To właśnie tutaj Pink Floyd stworzyli muzykę do filmu „More”, a jedna z piosenek King Crimson nazywa się „Formentera Lady”.

NAVIGARE NECESSE EST

Ciekawym przeżyciem jest tutaj żeglowanie. Wraz z kilkoma miniaturowymi wysepkami Formentera tworzy niewielki samodzielny archipelag, nieosiągalny dla podróżujących



HIPPISIE, CZY CI NIE ŻAL?

Miła kawiarenka w Sant Ferran, miasteczku wspominającym swą świetność sprzed pół wieku, kiedy było jednym ze światowych centrów hippisowskiej subkultury.

MORZE KOLORÓW

Okoliczne wody kryją wielkie przyrodnicze bogactwa. Ich czystość i bioróżnorodność zaowocowała utworzeniem między Ibizą a Formenterą morskiego rezerwatu – jedyne go na Morzu Śródziemnym, który dostał się na listę UNESCO.



FOT. JORRI BENIEZ

PRZYJACIÓŁKA ŻEGLARZY

Latarnia La Mola na wschodnim skalistym wybrzeżu wyspy stoi w jej najwyższym punkcie (192 m n.p.m.). Obiekt wzniesiono w 1861 roku, a zelektryfikowano dopiero w 1970.

promem. Są tam miłe dzikie plaże. Maleńka Espalmador, położona tylko 150 metrów od Formentery, jest jedyną sąsiadką, na którą można się nawet dostać pieszo. Spacer tam polecam jednak tylko tym, którzy umieją dobrze pływać i kiedy warunki atmosferyczne na to pozwalają. Na Espalmadorze trzeba koniecznie odwiedzić plażę S'Alga, tworzącą przepiękną i spokojną zatokę, oraz przejść się w stronę terenów podmokłych w centrum wysepki, gdzie znajduje się naturalne spa z kąpielami błotnymi.

Dla żeglarzy niesamowitym widokiem okazują się skaliste południowo-wschodnie wybrzeża w okolicach latarni morskiej La Mola, stojącej na najwyższym wzniesieniu Formentery. Legenda mówi, iż sam Juliusz Verne, zapalony żeglarz, zainspirował się charakterem wyspy, pisząc swoją powieść „Hektor Servadac”, w której główny bohater podróżuje poprzez układ słoneczny na kawałku ziemi oderwanej z Morza Śródziemnego. Formentera, płaska na północy i wznosząca się w okolicach El Pilar de la Mola, przypominała francuskiemu pisarzowi pas startowy dla UFO.

Inna latarnia i inny artysta – Julio Madem – pokazał niesamowity krajobraz przyłódka Barbara. Uczynił to w swoim filmie „Lucia y el sexo”, i od tej pory tysiące fanów kieruje się na pielgrzymkę po miejscach, w których sfilmowano Paz Vege, grającą główną rolę w tym kultowym filmie. Najważniejszym miejscem jest tu niesamowita jaskinia, do której wchodzi się przez otwór w ziemi, a po kilku krokach w ciemnościach odnajduje wyjście tuż nad przepaścią, z zapierającym dech w piersiach widokiem na klifowe wybrzeże. Jest to punkt najczęściej chyba fotografowany na wyspie i w pewnym sensie jej symbol, zaraz obok jaszczurki *sargantana*.

Żeglując dookoła Formentery, powinniśmy cumować przy specjalnie wyznaczonych ekologicznych bojach (jest ich 67), które istnieją od 2006 roku. Ekolodzy zaniepokoił się wpływem na dno morskie coraz popularniejszej żeglugi wzdłuż wybrzeży wyspy. Opinia publiczna dowiedziała się o problemie ze wstrząsającego zdjęcia kotwicy wyrrywającej ogromną część chronionego gatunku traw morskich. To zdjęcie omalże nie doprowa-

FOT. SHUTTERSTOCK



dziło do politycznego konfliktu pomiędzy Hiszpanią a Arabią Saudyjską, gdyż kotwica należała do stumetrowego jachtu saudyjskiego księcia. Sam książę podobno nie miał o niczym pojęcia, niemniej uścił jako rekompensatę okazałą sumę. A prawda jest taka, iż kotwiczenie w nieodpowiednich miejscach przy wybrzeżu Formentery jest winne szybkiej degradacji jednego z najważniejszych ekosystemów Morza Śródziemnego.



EUROPEAN UNIVERSITIES
SPORT CLIMBING CHAMPIONSHIP
KATOWICE 2015
EUSA

Akademickie Mistrzostwa Europy we Wspinaczce Sportowej 2015

Katowice /
Sosnowiec
5-9 sierpnia

www.climbing2015.pl



ORGANIZACJA
ŚRODOWISKOWA
AZS KATOWICE



Akademicki
Związek
Sportowy



EUSA
EUROPEAN UNIVERSITIES SPORT CLIMBING ASSOCIATION



Polski
Związek
Alpinizmu



SPORT
POZNAŃ
ASO



Ministerstwo
Sportu i Turystyki



KATOWICE



Silesia
Positive energy



Sosnowiec



BURL



GRAVEL



MAMMUT



POLECA



R E K L A M A

Ulubionym wśród żeglarzy miejscem na kąpiel jest położona na północy plaża Ses Illetes, która w 2013 roku wybrana została przez użytkowników Tripadvisor jedną z najwspanialszych plaż świata. Illetes, położona na mierzei, daje możliwość dostępu do morza z dwóch stron. Turkus wody i biały drobnoziarnisty piasek sprawiają, iż możemy poczuć się tu jak na karaibskiej plaży. Jednak w odróżnieniu od Karaibów zamiast palm można podziwiać tu śródziemnomorskie sosny i jałowce, a poza tym Formentera leży tylko dwa tysiące kilometrów od Warszawy. ○



Zuzanna Grochulska

Od 10 lat mieszka na Majorce, gdzie pracowała między innymi jako dziennikarka i tłumacz. Obecnie dzieli swój czas między pracę w logistyce, podróżami i pisaniem bloga:
www.zuzanadas.blogspot.com.es.

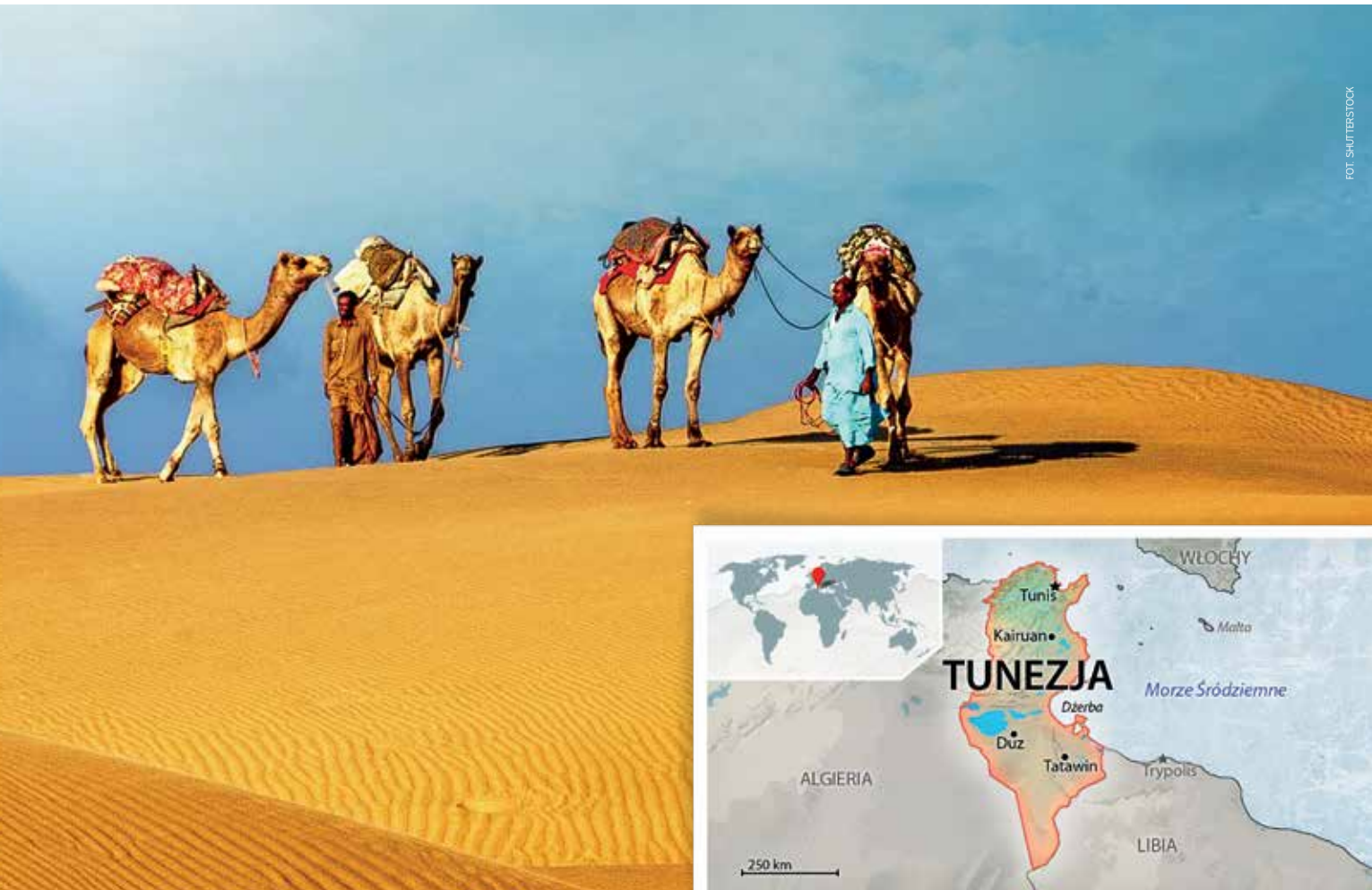


Marcin Kołpanowicz

DROMADEREM PRZEZ GALAKTYKĘ

Na dromadera się nie wsiada, na dromadera się nasuwa. Wystarczy podejść od tyłu, rozstawić szeroko nogi nad garbem siedzącego zwierzęcia i mocno złapać za uchwyt siodła – a wielbłąd, podnosząc się, sam umieści jeźdźca na swym grzbiecie.

Wielbłąd wstaje w trzech etapach: gdy rozkraczyłem się nad swym dromaderem, ten najpierw katapultował mnie w górę (zerwał się na „łokcie” i „pięty” jednocześnie), potem próbował przetrząsnąć mnie przez głowę (gwałtownie wyprostował tylne nogi), a następnie usiłował strząsnąć mnie do tyłu (co było efektem wyprostowania przednich nóg). Kiedy zwierzę stanęło już na dobre, jego kończyny zaczęły wykonywać dziwny balet – co jakiś czas to jedno, to drugie kopyto wyskakiwało w górę jakby porażone prądem. Mia-



łem wrażenie, że dromader chce mnie kopnąć w stopę, choć najczęściej trafiał siebie samego w brzuch. Zaskakująco różnorodne były wydawane przez niego odgłosy: od popiskiwań i bulgotania, przez chrząkanie i warczenie, po przerażający ryk, przypominający apogeum wściekłości Godzilli.

GARBIĄC SIĘ NA WIELBŁĄDZIE

Gdy ruszyliśmy, zrozumiałem, dlaczego wielbłądy nazywane są „okrętami pustyni”. Zwierzę porusza się całkiem inaczej niż koń: unosi na przemian obie prawe, a następnie obie lewe kończyny, co powoduje charakterystyczne kołysanie na boki. Niedługo dromadery były podstawowym środkiem lokomocji i transportu w Tunezji, dziś często

stanowią atrakcję dla turystów, pragnących przeżyć saharijską przygodę.

Jeśli jest się w Douz, warto przejechać przez tę „bramę Sahary”, by doświadczyć majestatu i ogromu pustyni. Żywiol hipnotyzuje i wciąż



FOT. MARCIN KOŁEPAKOWICZ

AMFITEATRY, NIE KOLOSEA

Zbudowany w III w. rzymski amfiteatr w Al-Džamm (mylnie zwany Koloseum) jest znacznie lepiej zachowany niż Amfiteatr Flawiuszów w Rzymie (również zwany Koloseum).

ga, a jego monotonia jest tylko pozorna. Rytm wędrówki wyznaczają pory dnia – najprzyjemniej jest o świcie, kiedy piasek nie jest jeszcze



VADER Z TATAWINA

Tatooine, pustynna planeta na Zewnętrznych Rubieżach Galaktyki, zawdzięcza swą nazwę tunezyjskiemu miasteczku Tataouine (po polsku Tatawin).

nagrzany, wznoszące się słońce oświetla artefakty stworzone przez wiatr i piasek – diuny, na których odcisnięte są linie papilarne olbrzymów, oraz dziwaczne zlepieńce, które wyglądają jak skały, ale utworzone są ze stwardniałego piachu. Po południu wszelki ruch zamiera, ludzie szukają wytchnienia w cieniu zwierząt, rozpalone powietrze tworzy drgające nad horyzontem miraż. Dopiero pod wieczór można ruszać w dalszą drogę, oglądając własny cień zgarbiony nad cieniem wielbłąda i podziwiając morze piaskowych fal. Po zachodzie temperatura obniża się tak gwałtownie, że człowiek zaczyna tęsknić za upałem, który jeszcze nie-

ŚWIĘTO FLAGI W PÓRCIE KOSMICZNYM

Kto by się spodziewał, że na grzbiecie wielbłąda można dotrzeć w najdalsze zakątki Wszechświata? Okrepty pustyni dobijają bowiem nawet do portu kosmicznego Mos Espa na planecie Tatooine, tej samej, na której wychował się Luke Skywalker. Ja przyjechałem tam jednak dżipem, zaliczając po drodze akrobacje, których nie szczędził nam szalony kierowca w stroju Beduina. Jazda po zboczach diuny, wjazd na prawie pionową wydmę lub kontrolowane spadanie z urwiska wymagają od kierowcy dużych umiejętności, a od pasażera silnych nerwów i takiegoż żołądka. Po godzinnym rajdzie dotarliśmy do miejsca, gdzie George Lucas kręcił wiele scen „Gwiezdných



ŚWIĘTO FLAGI

Bicie rekordu Guinnessa na największą flagę przyciągnęło 2 maja do Mos Espa wielkie tłumy.

dawno przeklinał, i przysuwa się jak najbliższej ogniska. Dobrze zaopatrzyć się na taką okazję w butelkę tunezyjskiego wina (zaskakująco dobrego, najlepszy jest biały lub różowy magon), które świetnie pasuje do upieczonych nad ogniskiem berberyjskich podpłomyków.

wojen”. Zbudowano tu na potrzeby filmu wioskę, która do dziś przyciąga miłośników kosmicznej epepi. Tunezyjczycy zdają sobie sprawę z atrakcyjności tego miejsca, i gdy port kosmiczny został zasypany przez piaski i częściowo uszkodzony, podczas ogólnonarodowej



akcji odkopali i odnowili filmową dekorację z pieczołowitością godną starożytnych ruin.

Niedawno 5 tirów przytransportowało tutaj długie na 80 km bele materiału, z których 100 osób, pracując dzień i noc przez 15 dni, ułożyło na piasku narodową flagę Tunezji o wymiarach 396 na 264 m. Materiał, pochodzący w całości z tunezyjskiego włókna, był tkany i barwiony w odległym o 300 km Kairouanie. W święto flagi, 2 maja 2015 roku, w pobliżu Mos Espa odbyło się bicie rekordu Guinnessa na największą flagę na świecie. Wokół niej zebrały się setki ludzi: wielopokoleniowe rodziny w tradycyjnych galabijach i prążkowanych tunikach, mężczyźni w karminowych fezach, ubrani na białą, kobiety w różnobarwnych chustach, ubrane na czarno, młodzież w haftowanych strojach, ale także w dżinsach i t-shirtach. Przybyli poganiacze wielbłądów w szafirowych turbanach, swoje stragany rozłożyli sprzedawcy chałwy i róż pustyni. Wśród publiczności przechadzał się chłopiec z białym osowiałym fenkiem na sznurku, sokolnik z siedzącym na ramieniu czujnym ptakiem, a nawet astmatycznie sapiący Darth Vader z plastikowym mieczem. Kołysały biodrami wysmukłe berberyjskie piękności, fotografowa-

ne przez swych narzeczonych na tle kosmicznych wieżyczek bazy Mos Espa. „Niesamowity *Wszechświat jest*” – jak mawiał mistrz Yoda.

NIE DLA FUNDAMENTALISTÓW

Po niedawnym zamachu, do którego doszło w Muzeum Bardo w Tunisie i do którego przyznało się tzw. Państwo Islamskie, rząd Tunezji wprowadził nadzwyczajne środki bezpieczeństwa i czyni wszystko, by podobna tragedia się nie powtórzyła. Dlatego nad ludźmi fetującymi flagę przelatujący co jakiś czas wojskowy helikopter, a w tłumie kręciło się podobno sporo oficerów w cywilu. Zresztą w dzisiejszych dziwnych czasach prędzej w Paryżu, Londynie czy Nowym Jorku można zostać zastrzelonym lub wysadzonym w powietrze. W Tunezji obcokrajowca na każdym kroku spotyka uśmiech, uprzejmość i życzliwość, co sprawia, że przez cały czas pobytu czułem się tam bezpiecznie.

W Tunezji występuje islam w wersji soft. Kraj ten wśród państw muzułmańskich uchodzi za najbardziej liberalny. Tunezyjczycy piją wino, Tunezyjki nie tylko nie noszą burek, ale w ogóle często nie zakładają chust. Jest tak od czasu reform wprowadzonych tutaj w latach 50. przez pierwszego prezydenta niepodległej Tunezji, Habiba Burgibę, który – być może pod wpływem swej żony, Francuzki – zapewnił kobietom równouprawnienie, zakazał bigamii, zaś hidżab nazywał wstrętną szmatą. Dziś ani radykalni islamiści, ani zamachowcy nie mogą tu liczyć na wsparcie.



LISI SŁUCH

Lis pustynny fenek składa się z: uszu i fenka właściwego.

SOKOLI WZROK

Sokoły konkurują z fenkami w walce o pokarm, a właściciele sokołów i fenek konkurują ze sobą w walce o dinary turystów.



CHRZCIELNICA Z DEMNY

W tym wyłożonym mozaiką baseniku przyjmowano chrzest od VI wieku.

SCHŁADZARKA

Tryskająca ze źródła gorąca woda jest pompowana na szczyt tej budowli. Następnie ulega ochłodzeniu, gdy spływa po żelaznych prętach do basenu, w którym okoliczni mieszkańcy dokonują porannej toalety. Później woda płynie kanałami do plantacji palm daktylowych.

MOWA MOZAIK

Do Tunisu dotarłem dwa miesiące po tragedii – w ścianę przed wejściem do budynku wmurowano już płytę upamiętniającą ofiary zamachu, wśród nich trzech Polaków. Pod nią stosi świeżych kwiatów. Płyta wykonana jest

w pierwszych wiekach naszej ery: ukazują stroje, narzędzia, broń, meble, łodzie oraz obyczaje dawnych mieszkańców północnego wybrzeża Afryki.

Choć chętnie przedstawiano sceny mitologiczne, to równie często tematem były po-

lowania, walki gladiatorów, połów ryb czy uprawa roli. Zobaczyć tu można muzykantów grających na fletni Pana, tancerki z kastanietami, służącego z tacą na głowie, a także chłopów uprawiających winorośl i drzewa oliwne, rosnące być może do dzisiaj, bo wiek najstarszych oliwek w Tunezji szacuje się na 2,5 tys. lat. Wokół łodzi z półnagimi rybakami, wśród stylizowanych fal morskich przedstawiono ze-



w technice mozaiki, bo chlubą tuniskiej kolekcji są właśnie rzymskie mozaiki, których zgromadzono tu najwięcej na świecie. Są one kopalnią wiadomości o życiu codziennym

znawstwem tematu cały atlas ichtiologiczny: tuńczyka, okonia, barwęń, krewetki, ośmiornice i inne stwory morskie, które do dzisiaj stanowią podstawę menu wysmienitych nad-

morskich restauracji. Zaciekawienie i chichoty wzbudza mozaika z wizerunkiem fallusa pomiędzy dwoma trójkątami łonowymi – motyw ten umieszczano często w progu domu jako amulet chroniący przed złym spojrzaniem.

Oprócz pozostałości rzymskich w muzeum Bardo wyeksponowana jest także bogata kolekcja mozaik wczesnochrześcijańskich, bo w pierwszych wiekach po Chrystusie wyznawcy nowej, prężnie rozwijającej się religii założyli tu wiele gmin. Najpiękniejszym zabytkiem z tych czasów jest chrzcielnica z Demny

Tunezji, która dziś jest w 98 proc. muzułmańska. Pozostałe 2 proc. dzielą równo pomiędzy siebie żydzi i chrześcijanie, którzy cieszą się tutaj nieczęstą w krajach islamu swobodą religijną. Przy Avenue Bourguiba, głównej ulicy Tunisu, stoi okazała katedra św. Wincentego, kościoły można znaleźć także w innych miastach, a na Dźerbie znajduje się czynna synagoga.



FOT. MARCIN KOŁPANOWICZ

– wyłożony mozaiką, wyprofilowany podobnie jak współczesne jacuzzi basenik, w którym zanurzał się katechumen. Chrzcielnica oddzielona jest od zwiedzających sznurem, jednak gdy pilnujący sali zauważył, jak zawzięcie fotografuję, podszedł do mnie i konfidencjonalnym tonem zapytał, czy chciałbym podejść bliżej. Z radością przyjąłem jego propozycję, a wtedy strażnik wystawił dłoń i szepnął mi w ucho: – *Bakszisz pur mua...* Dzięki wyszperanym z kieszeni 2 dinarom mogłem dotknąć tego niezwykłego świadectwa chrześcijańskiej historii

NA DYWANIE W KAIROUANIE

Drugi raz bakszysz okazał się przydatny w Kairouanie. Po Mekce, Medynie i Jerozolimie jest to czwarte co do ważności miasto islamu, gdyż w tutejszym Meczecie Cyrulika przechowywane są trzy włosy z brody Mahometa. Choć niemuzułmanie mogą poruszać się swobodnie po terenie meczetu, to nie wolno im wejść do pomieszczenia, w którym znajdują się relikwie. Udało mi się jednak skłonić leżącego na dywanie przed drzwiami dozorcę, by za drobną opłatą wzięł mój aparat i wykonał wewnątrz (nieste-

ŚWIĘTY WINCENTY

Patronem katedry w Tunisie jest św. Wincenty à Paulo, który podczas podróży statkiem został napadnięty przez piratów i spędził cztery lata w niewoli arabskiej. Po odzyskaniu wolności zajął się wykupywaniem niewolników.



RUINY KARTAGINY

Rzymski polityk Katon każde swoje przemówienie w senacie kończył słowami:

„A poza tym uważam, że Kartagina powinna być zburzona”. Jak widać, dopiął swego.

ty, nieco poruszone) zdjęcie szklanej szkatułki, w której przechowywany jest zarost proroka.

Kairouan to miejsce warte dłuższego zatrzymania nie tylko ze względu na Meczet Cyrulika, czyli Sidi Sahaba, przyjaciela Mahometa, który był zarazem jego fryzjerem, ale także z powodu niezwykle malowniczych uliczek i medyn, w której, jak w Sezamie, zgromadzone są wszystkie skarby świata. Miasto zachowało

i bordowych, pokrytych drobnymi ornamentami w jasnej obwódce – w stylu tureckim.

KARTAGIŃSKIE ALL INCLUSIVE

O losie Kartaginy przesądził Katon, kończąc każde swe wystąpienie w senacie słowami: „A poza tym uważam, że Kartagina powinna być zburzona”. Tak też się stało – po wygraniu III wojny punickiej Rzymianie zburzyli, przekleli i posypali solą fragment wybrzeża Morza Śródziemnego w pobliżu dzisiejszego Tunisu, gdzie wznosiła się ta stolica morskiej potęgi Fenicjan. Kartagina odżyła później jako rzymska kolonia, ale po podboju Afryki Północnej przez Arabów w VII w. podzieliła los swej poprzedniczki. Dziś Kartagina to zaledwie porośnięte palmowymi gajami fundamenty rozebranych przez najeźdźców budowli i zrujnowane Termy Antoniusza. Ich lokalizacja nad samym morzem przypomina lokalizację nowoczesnych kompleksów hotelowych.

Podobieństw starożytnych term ze współczesnym spa jest zresztą więcej, więc śmiało można je uznać za zapowiedź kwitnącego



DLA KAŻDEGO COŚ GLINIANEGO

Typowy tunezyjski skład ceramiki: miniaturowej, regularnej i przerośniętej.

egzotyczny, orientalny charakter, toteż zagrało Kair w filmowych przygodach Indiany Jonesa. Kairouan słynie z wyrobu dywanów, zarówno tych utrzymanych w stylu berberyjskim, o surowych geometrycznych wzorach, jak



**PAŁAC
CZY WIĘZIENIE**
Fikuśna klatka
dla ptaków.

obecnie w Tunezji przemysłu hotelowego. Wszak nazwę spa wywodzi się z łacińskiego *salus per aqua* – zdrowy przez wodę. Termy wznosił cesarz Hadrian w II w. n.e., na wzór rzymskich Term Trajana, ale ponieważ nie doczekał końca budowy, otrzymały one imię jego przybranego syna, cesarza Antoniusza, który właściwie przyszedł na gotowe.

W potężnej symetrycznej budowli zaprojektowano *caldaria* – baseny z wodą gorącą dzięki podpodłogowemu systemowi ogrzewania, *tepidaria* – pomieszczenia przypominające współczesną saunę i *frigidarium* – centralnie umiejscowiony basen z zimną wodą. W budynku mieściła się biblioteka, jadalnia, gdzie serwowano także alkohol (*all inclusive!*), dom publiczny oraz latryna, w formie półokrągłej marmurowej półki ze znajdującymi się w niewielkich odległościach otworami, na których, siedząc, można było podtrzymywać konwersację. Wodę miastu i termom zapewniała kombinacja fenickiej i rzymskiej myśli technicznej. Do gigantycznych, przetrwałych do dzisiaj punickich cystern w Bordż Dżedid wodę doprowadzano z odległego źródła w górach za pomocą zbudowanego przez Rzymian kamiennego wodociągu. O inżynierskim kunszcie Rzymian świadczy fakt, że w długim na 120 km wodociągu udało się utrzymać stały spadek 3 promili, czyli 3 metrów na 1 kilometr.



Wierzyć w nurcie Nilu

Przez pryzmat cierpienia i biedy ośmiu krajów Afryki ojciec Maciej pokazuje nam radykalne chrześcijaństwo. Wędrując ścieżkami współczesnych męczenników, stawia niewygodne pytania o swoją własną i naszą codzienną wierność Chrystusowi. Wydobywa z medialnego niebytu świata prawdziwych świadków wiary i pozwala nie zatracić nadziei na dobro. Przybliży nam pełną Boga Afrykę, której nigdy byśmy nie poznali, gdyby nie jego mistrzowskie reportaże. Ta książka nie epatuje złem, lecz równocześnie jest pełna prawdy. Nie jest obojętna. Jest bezkompromisowa. Nam – Europejczykom – przypomina, że za abstrakcyjne chrześcijaństwo nikt nie będzie w stanie oddać życia.

22,40 zł
~~24,90 zł~~

www.wkb-krakow.pl

R E K L A M A

Wyjazd do Tunezji kojarzy się głównie z leniwym spędzaniem czasu pomiędzy solidnie nachlorowanym basenem, uginającym się szwedzkim stołem a barem z darmowymi kolorowymi drinkami, w ośrodku, który niczym nie różni się od podobnych obiektów w Chorwacji, Egipcie czy Tajlandii. Przemysł turystyczny działa tu perfekcyjnie: codziennie klimatyzowane autokary zabierają tysiące gości z lotniska do hotelu, gdzie zbijają baki, dopóki ten sam autokar nie odstawi ich, czerwonych od słońca i cięższych o kilka kilogramów, z hotelu na lotnisko. Warto jednak wykorzystać czas spędzony w Tunezji na poznanie jej kultury, historii, krajobrazów, rękodzieła, kuchni i innych atrakcji, które oferuje ten różnorodny, zaskakujący i gościnny kraj. ○

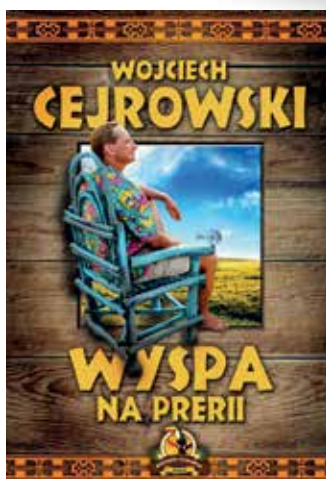


Marcin Kołpanowicz

Malarz i podróżnik. Wrażenia z wypraw są inspiracją dla jego pastelowych i olejnych wizji, łączących w sobie wyobraźnię, poetycką metaforę i filozoficzne przesłanie. Autor ponad 20 wystaw indywidualnych. Jego obrazy pojawiły się na okładkach książek.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE



Z serii książek Biblioteki Poznaj Świat ukazało się wznowienie „Wyspy na prerii” Wojciecha Cejrowskiego. Rzecz dzieje się współcześnie w Arizonie, tuż przy granicy z Meksykiem. Południe Stanów Zjednoczonych oraz dawny Dziki Zachód są zupełnie inne niż Nowy Jork, Chicago, Floryda czy Kalifornia. Preria zadziwia nawet tych, którzy dobrze znają Amerykę. Drogę tutaj znajduje się łatwo: wystarczy zjechać z autostrady, potem jeszcze raz zjechać i znów zjechać, i tak do skutku – aż skończy się mapa i wyląduje się na polnej drodze prowadzącej na jakieś ranczo. Dziki Zachód dawno przestał być dziki, ale mieszkańcy prerii wciąż o tym zapominają. Preria jest trochę dzika, trochę niepiśmienna. Nie jest zacofana! Po prostu poszła w inną stronę niż nasza cywilizacja.

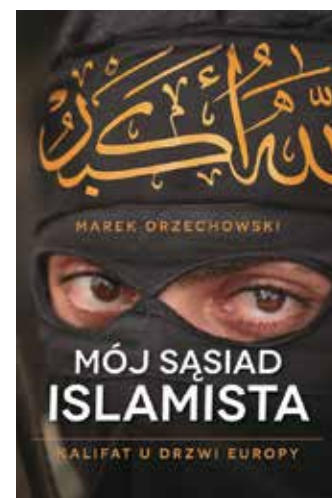
Niniejsze wydanie „Wyspy na prerii” zostało gruntownie odmienione. Niby ten sam tekst, co poprzednio, ale inne zdjęcia, inna grafika, wygląd map i okładka.

4 choreografów – Patrycja Grzebieluch, Marcin Piotrowski, Martyna Buła i Wawrzyniec Tyrpa 27 lipca wyruszą na miesięczną wyprawę taneczną. W specjalnie przygotowanym busie tancerze przejadą ponad 8 tysięcy kilometrów, aby rozruszać Europejczyków wizją tańca, jakiej nie zobaczą na klubowych parkietach. Na ich trasie staną Berlin, Amsterdam, Bruksela, Paryż, Madryt, Lizbona, Barcelona, Saint Tropez, Florencia, Rzym, Wenecja, Graz i Budapeszt.



POŚRÓD SĄSIADÓW

Marek Orzechowski, znany dziennikarz i publicysta, podejmuje temat, który jest niezwykle ważny dla współczesnej Europy: islam. Jego książka „Mój sąsiad islamista”, wydana nakładem Wydawnictwa Muza, to gorąca analiza sytuacji społeczno-kulturowej na Starym Kontynencie, który coraz bardziej ulega islamizacji. Jakie jest dziś najważniejsze wyzwanie zachodniej cywilizacji, jeżeli chce przeżyć? Książka opowiada o dramatycznych zjawiskach, które potwierdzają sukces islamistów w zachodniej Europie: od krwawych zamachów po spory o miejsce na basenie kąpielowym. Autor opisuje problem radykalnego islamu, który już stoi u drzwi Europy i wkrótce może dotknąć również Polaków.





OKNO NA ŚWIAT

Festiwal Kultur Świata „Okno na świat” jest wydarzeniem powołanym, by promować hasła tolerancji i dialogu międzykulturowego. Festiwal prezentuje artystyczne kooperacje, projekty międzynarodowe, artystów tworzących w innych krajach niż te, w których się urodzili. 9. edycja stawia w centrum uwagi aktualne tendencje i zjawiska muzyczne związane z zagadnieniem imigracji i odbędzie się pod hasłem „Imigracja/ Integracja”. Wystąpią przedstawiciele różnych narodów i grup etnicznych zamieszkujących Europę oraz Polskę, którzy wywodzą się z różnych kontynentów, a których łączy wspólny status społeczny imigranta. Gwiazdą festiwalu będzie Aurelio Martinez pochodzący z Hondurasu, kultywujący muzyczną spuściznę grupy etnicznej Garifuna. Festiwal odbędzie się w Gdańsku na Targu Węglowym, w Centrum św. Jana i Ratuszu Staromiejskim w dniach 17 – 19 lipca.



UNITY LINE



20 lat udanych podróży

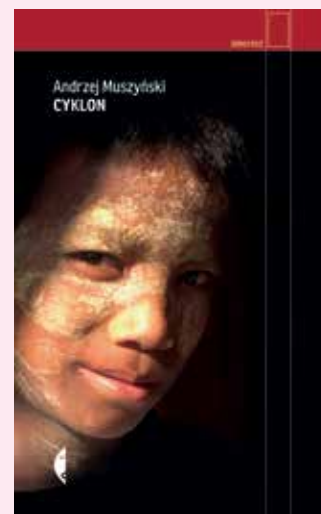
Wciągu ostatnich 20 lat ponad 4 miliony osób odwiedziło Skandynawię. Różnił je wiek, hobby i plany, łączyło jedno – wszyscy wybrali się tam promami Unity Line. Niektórzy zwiedzali Bornholm, podróżując 105-kilometrową trasą rowerową wokół wyspy. Inni odkrywali zabytkową Kopenhagę, nadmorskie metropolie Szwecji i widowiskowe fiordy Norwegii podczas wycieczek Unity Line. Jeszcze inni na własną rękę zwiedzali Skandynawię, rezerwując atrakcyjne pakiety rodzinne lub hotelowe w Danii, Szwecji i Norwegii. Ty również możesz wybrać się w udaną podróż do Skandynawii. Wystarczy, że skorzystasz z wakacyjnych ofert specjalnych przygotowanych z okazji jubileuszu 20-lecia Unity Line. Więcej na www.unityline.pl.

R E K L A M A

CYKLON

W maju 2010 roku światowe media obiegnęła informacja o dezercerze, który ujawnia najściślej strzeżone sekrety birmańskiej junty. Major Sai Thein Win został wciągnięty w misterną grę. Gdy generałowie wydali na niego wyrok, ukrywał się już w Norwegii. Wtedy Andrzej Muszyński wyruszył na jego poszukiwanie. Spotkał go jednak w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. To, co usłyszał, wykracza poza scenariusz filmu szpiegowskiego.

„Cyklon” to wynik ośmiu podróży do jednego z najbardziej odizolowanych państw na świecie, w którym żyje około stu trzydziestu mniejszości etnicznych i pół miliona buddyjskich mnichów, a stolicę przenosi się z miejsca na miejsce za radą astrologów. Muszyński przybywa do pogrążonego w ciemności kraju tuż po szafranowej rewolucji i cyklonie Nargis, gdy rzeką Irawadi spływają trupy. Opuszcza go, gdy rodzi się demokracja. Książka ukazała się nakładem Wydawnictwa Czarne.





PO BAJKALE

Nakładem Wydawnictwa Świat Książki ukazała się relacja z wyprawy rowerowej zimą po zamrożonym Bajkale. Dwóch młodych mężczyzn przemierza jezioro z północy na południe, trasa wynosi ponad 900 kilometrów w skrajnie trudnych warunkach: mróz, lodowaty wiatr, szczeliny w lodzie. Autor opisuje spotkania z fascynującymi ludźmi, ich zmagania z niezwykle przyrodą, przytacza zasłyszane od nich opowieści i historie. W książce pt. „Po Bajkale” znajdziemy również przygody, zabawne i dramatyczne, jakie rowerzyści przeżyli w dalekiej Syberii. W tle przepiękne krajobrazy. Mnóstwo wspaniałych zdjęć.

GOLD RUSH

Na początku lipca Marta Wojnarowicz, Paweł Woźniak i Tomasz Woźniak wyruszą na wyprawę, podczas której chcą „opalikować” trzy złotośne działki na Jukonie, w pobliżu legendarnych terenów złotośnych, jednakże w rejonie jeszcze niewyeksplorowanym. Wyruszą z miasta Whitehorse i w canoie spłyną rzekami Big Salmon i Jukon. Po miesiącu chcą dotrzeć do miejscowości Carmacks, biorącej swą nazwę od odkrywcy złota z 1896 w strumieniu Bonanza nieopodal Klondike. Po drodze dokonają licznych testów strumieni. W miejscu najbardziej obiecującym „opalikują” trzy działki złotośne, a następnie po rejestracji w lokalnym urzędzie wejdą w ich posiadanie na prawach dzierżawy z możliwością pozyskania złota z osadów takimi metodami, jakie stosowane były sto lat temu. Chcą udowodnić, że realizacja szalonych marzeń z dzieciństwa jest możliwa przy odpowiedniej ilości zapału i wytrwałości.



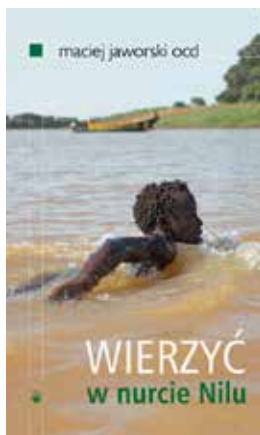
Odkrywanie raju na motorze

Szykuje się kolejna wyprawa Witolda Palaka, który zwiedza Himalaje z motocyklowego siodełka. Tym razem przejedzie przez leżące między Bangladeszem a Birmą stany Indii (tzw. Seven Sister States), nazywane rajem nieodkrytym. Głównym celem wyprawy będzie dotarcie do jednych z najmniej poznanych zakątków Indii w stanie Arunachal Pradesh, zamieszkałych przez plemiona Adi, Apatani, Nisi, Wancho. Ograniczony kontakt ze światem zewnętrznym i brak zorganizowanej turystyki w tych regionach, a także dopiero od niedawna możliwość swobodniejszej eksploracji tych terenów, pozwoliły na utrzymanie tradycji i zwyczajów w niemal niezmienionej



nej od stuleci formie. Walki etniczne, konieczność zdobywania pozwoleń, brak odpowiedniej bazy noclegowej, trudny dojazd do górskich wiosek i napięcie polityczne na granicy z Chinami powodują, że niewielu indywidualnych turystów zapuszcza się w te regiony. Podróż potrwa 7 miesięcy.

Wierzyć w nurcie Nilu



Polski karmelita bosy, o. Maciej Jaworski, mieszka i pracuje w Rwandzie od dziewięciu lat. Swoimi przeżyciami, obserwacjami i poszukiwaniami dzielił już dwukrotnie jako autor książek „Spojrzenie z serca Afryki. Świadcstwo wiary Kościoła w Rwandzie” (2008) oraz „Kwemera, czyli wierzyć. Świadcstwo wiary Kościoła w Rwandzie” (2012). Powtarzające się motywy wiary i Kościoła są również mocno obecne w jego trzeciej książce. Tym razem wychodzi on poza granice Kraju Tysiąca Wzgórz i przemierza Afrykę wzdłuż Nilu – aż do Kairu i Aleksandrii. Książka pt. „Wierzyć w nurcie Nilu” Wydawnictwa Karmelitów Bosych nie jest jedynie prostym zapisem z podróży przez osiem krajów Afryki. Autor wędruje śladami męczenników, podąża ścieżkami Kościoła, który broczy krwią swoich wiernych i ich pasterzy, a także odkrywa ślady Kościoła, który żyje w niepewności.

Zegar z kukułką to niepodważalny symbol Schwarzwaldy i Badenii-Wirtembergii. Określenie „Kuckucksuhr” pojawiło się po raz pierwszy w XVII wieku, jednak popularność na szeroką skalę zegar zyskał dopiero w połowie XIX wieku. Od tego czasu niemalże się nie zmienił, do dziś w ornamentach najczęściej wykorzystuje się motywy roślinne. W miejscowościach Schonach i Triberg, czyli obu ośrodkach produkcji zegarów z kukułką, stoją dziś dwa największe na świecie egzemplarze. W Schwarzwaldzie warto odwiedzić też założone w 1852 roku Furtwangen. Było ono niegdyś ważnym ośrodkiem zegarmistrzowskim, w którym powstawały słynne na całym świecie zegary dźwiękowe. Tworzone tutaj zegary odtwarzały głosy fletu, trąbki, śpiewających ptaków i inne dźwięki. W miejscowym Niemieckim Muzeum Zegarów znajduje się dzisiaj kolekcja ponad 8 tysięcy takich eksponatów. www.germany.travel



KUKUŁKA ZE SCHWARZWALDU

FOT. BADEN-WÜRTTEMBERG, TOURISMUS MARKETING GMBH



FOT. LUTZ ZIMMERMANN

ZŁOT ŻAGLOWCÓW W ROSTOCKU

W tym roku parada żaglowców „Hanse Sail” w Rostocku obchodzi swój 25. jubileusz. Wydarzenie odbędzie się w terminie 6–9 sierpnia, a jego głównym motywem będą statki parowe. Jednym z punktów programu jest parada żaglowców, na czele z największym szkolnym żaglowcem świata, czteromasztowym barkiem „Siedow”. Niewielką flotę utworzą też lodołamacz „Stettin”, holownik „Woltman”, stawiacz „Bussard” i parostatek z kołem łopatkowym „Frey”. Po raz pierwszy bezpośrednio po regatach w Rostocku odbędą się regaty w Bremerhaven, goście mają więc niepowtarzalną okazję odbycia wycieczki z Rostocku do Bremerhaven. Warto pamiętać, że niemieckie wybrzeże Bałtyku oferuje także wiele innych atrakcji dla małych i dużych wilków morskich. www.hanse-sail.de

WALKA ZE SMOKIEM

Za górami, za lasami, gdzie Las Bawarski łączy się z Lasem Czeskim, w Furth im Wald żyje groźny smok. Co roku w miasteczku odbywa się tradycyjny festyn ludowy (w tym roku w dniach 31.07–16.08, na Stadplatz 4), którego początki sięgają 1590 roku. Jego główną atrakcją jest walka ze smokiem. Spektakl przyciąga setki widzów, bierze w nim udział 1400 aktorów i statystów oraz 250 koni. Główną „gwiazdą” jest oczywiście ogromny smok: waży 11 ton, ma 4,5 m wysokości i ponad 15 m długości.



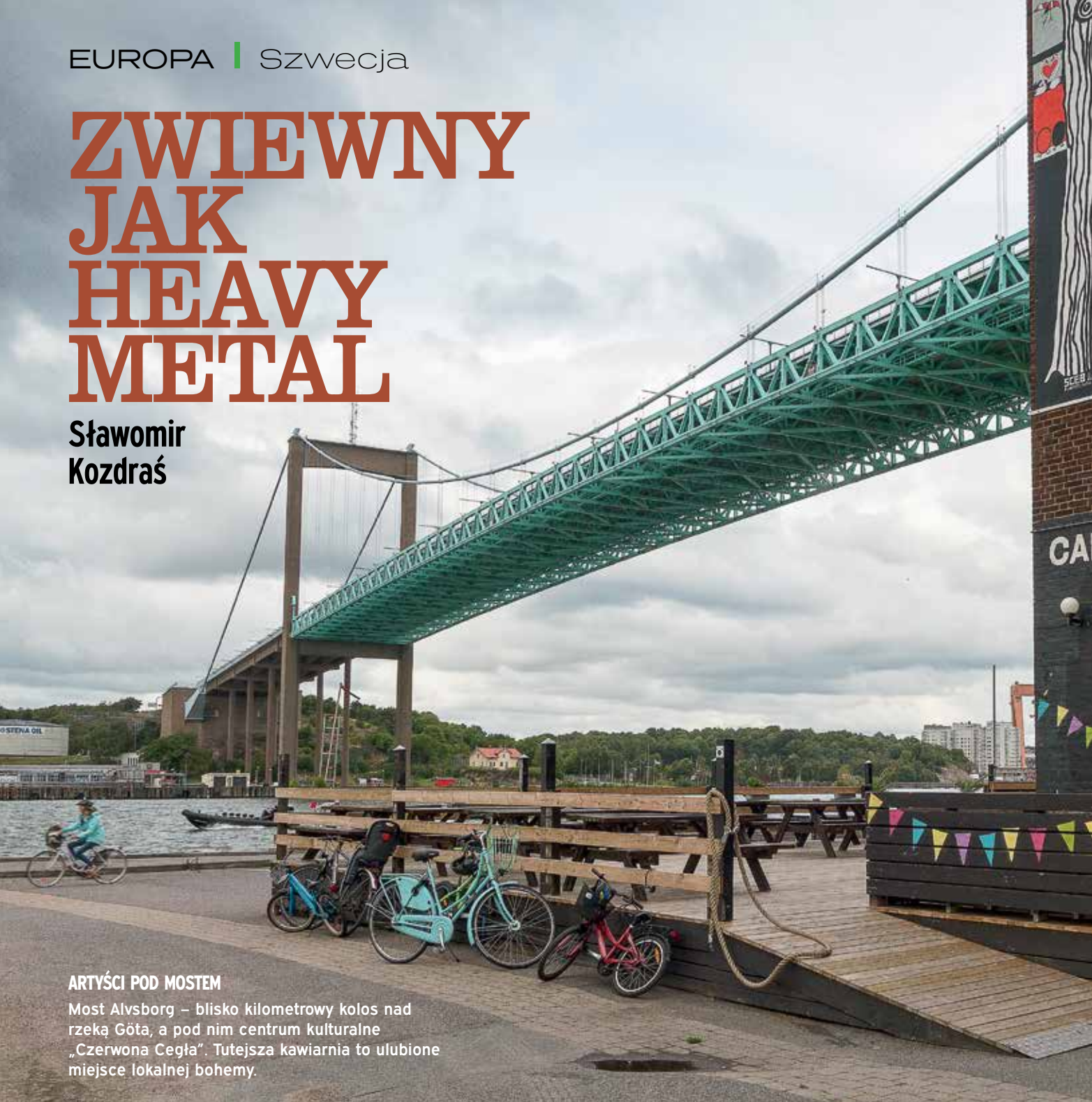
FOT. IMAN-HANZIG-KREIS

Smok ryczy, zionie ogniem i macha skrzydłami o rozpiętości 16 m. Wydarzeniu towarzyszy wiele dodatkowych atrakcji, jak średniowieczny jarmark z przekupkami i handlarzami, pokazy sokolnicze czy smaczne menu w ogródkach piwnych.

www.drachenstich.de

ZWIEWNY JAK HEAVY METAL

Sławomir
Kozdraś



ARTYŚCI POD MOSTEM

Most Alvsborg – blisko kilometrowy kolos nad rzeką Göta, a pod nim centrum kulturalne „Czerwona Cegła”. Tutejsza kawiarnia to ulubione miejsce lokalnej bohemy.

Nieuchwytny jak ruda cegła, ulotny jak stalowy dźwig, efemeryczny jak dwustumetrowy prom, zwiewny jak heavy metal. Portowy Göteborg, drugie miasto Szwecji, to enigma.



Zagadkę Göteborga zgłębiam jeszcze przed wyjazdem. Googluję zdjęcia z miasta i przyswajam bufet ujęć portu i eleganckiej architektury z żółtej cegły i drewna. Wstępne rozeznanie nasuwa wrażenie miasta schludnego i dostojnego, aczkolwiek niegrzeszącego intrygą czy



wyjątkowymi atrakcjami. „Ładne i czyste”, mówi mi kolega, który niedawno spędził tam dzień czy dwa. Wymownie dorzuca pytanie, czy aby na pewno nie mogą zamiast do Göteborga pojechać do północnej Kiruny. Znajoma Szwedka mówi, że miasto jest ciekawe – podobno, bo nigdy nie była. Z kolei przewodnik określa Göteborg jako miasto towarzyskie, o życzliwej atmosferze. Jak imieniny u cioci, myślę.

Robi się coraz bardziej oczywiste, że w Göteborgu od morza wieje nudą. Dziwna to wizja – port o serdecznym usposobieniu, miasto robotnicze pełne nienaganych kamieniczek i kawiarenek. Oliwy do ognia dezorientacji dolewa przez intercom pilota samolotu ogłaszający, że za moment lądujemy nie w twardo brzmiącym „Göteborgu” a w śpiewnym „Jetebori” (jak wymawia się nazwę miasta po szwedzku).

ZŁOWROGIE TRAMWAJE I INDUSTRIALNE SERCE

W XVII wieku Göteborg wybudowali Holendrzy, zatrudnieni z racji doświadczenia w budowie na podmokłym terenie i rzekomo wzorowali się na miastach niderlandzkich. Rzeczywiście, tak jak w Amsterdamie, centrum otacza kanał. Tutaj podobieństwa się kończą. Ruszam w miasto o świcie. W porannym słońcu błyszczą złowrogie przyłbice nasuwające na myśl potop szwedzki. To tramwaje, które



CICHA WODA

Łodzie zacumowane w centrum. Mogłoby się wydawać, że w Göteborgu od morza wieje nudą.

FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

HANDLOWO I NASTROJOWO
Uliczki handlowe w tutejszej Hadze, dzielnicy drewnianych domków (po lewej), i na ceglanej starówce (po prawej).

en face wyglądają jak rycerze w zbrojach. Groźna facjata kontrastuje z błękitnym, pokojowym, ONZ-owskim kolorem.

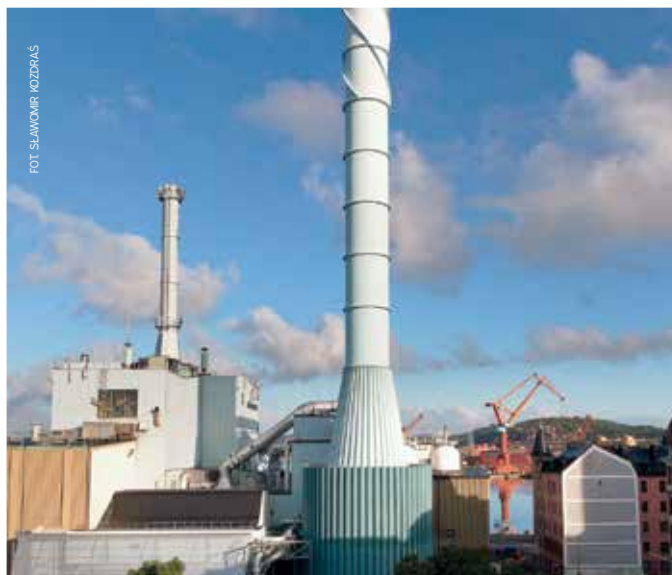
Służby porządkowe sprzątają bruk przykryty dowodami ekscesów piątkowego wieczoru. Po ulicach snują się zmordowani im-

prezowicze i przebudzają bezdomni. Na oko śpiący na ulicach mogą być z Bałkanów albo dalej, z Iraku. Iracka diaspora w Szwecji jest jedną z największych w Europie.

W powietrzu wyczuwam dziwny dysonans – jakby eleganckie budynki z cegły skrywały

FASADA I ZAPLECZE

Śródmieście z zabytkowymi kamienicami i nowoczesnymi biurowcami. Po prawej przemysłowo-portowa przeszłość – kominy fabryczne przy rzece Göta i łódzie na kanale.



historie niewidoczne na pierwszy rzut oka. W prześwitach między kamieniczkami, w od-dali, rysują się to kominy fabryczne, to dźwigi portowe. Industrialna przeszłość zagląda na stare miasto. W Göteborgu, o ile śródmieście to umalowana fasada, przemysł to serce

– niezłamane, ale z arytmnią. Kryzys paliwowy w latach 1970. i szersze zmiany w systemie ekonomicznym doprowadziły do upadku dużej części przemysłu. Jednak dalej są tu siedziby szwedzkich firm legend – w tym Ericsson, SKF i, przede wszystkim, Volvo.

VOLVO LOVE

– *Tu się urodziło to чудо, tak jak i wszystkie za nami* – mówi z nutką sentymentu Peter, wskazując na bramę hali. Milczący dotychczas pa-

1950. i 1960. Mówiąc o narodzinach, ma na myśli bramę fabryki, z której wyjechał każdy z klasycznych modeli Volvo PV.



JAZDA I FANTAZJA

Pielgrzymka fascynatów klasycznych volvo do źródeł marki w północnej części miasta oraz tramwaje, których przody przypominają złowrogie przyłbice.



Jeździmy po północnej, przemysłowej części Göteborga, a Peter wydaje się w historię miasta wplatać żarciki po szwedzku. W samochodzie nikt się jednak nie śmieje. Na pielgrzymce nie wypada. Pasażerowie z tyłu są ze Sztokholmu i ta podróż to ich, wydawałoby się, przemysłowy hadź, pielgrzymka do industrialnej Fatimy, samochodowa kąpiel w Gangesie, a grzechot co chwilę wyskakującego trzeciego biegu to kojąca mantra.

sążer z tyłu podkreca atmosferę, mówiąc, że to miejsce mistyczne, o znaczeniu wręcz religijnym. Peter obwozi mnie i grupę pasjonatów Volvo w kawalkadzie klasycznych modeli z lat

Mijamy kompleksy fabryczne poprzetykane nowoczesnymi muzeami i nowiutkimi apartamentowcami dla klasy średniej. Nad kolejnymi budowlami górują ogromne maszyny portowe, relikty setek lat historii przemysłowej.

MYCIE O ŚWICIE

Wczesnym rankiem
trwa zmywanie śladów
weekendowych ekscesów.





BŁYSKA SIĘ I SŁYCHAĆ SZCZĘK ŻELAZA
Grupa szwedzkich studentów czeka na łodzi na rekonstrukcję historycznej bitwy morskiej.



WIELKA SZTUKA
Główna przestrzeń wystawiennicza w monumentalnym centrum kulturalnym „Czerwona Cegła”.



RYBI KOŚCIÓŁ
Feskekörka (fot. pośrodku) to hala targowa z owocami morza. Budynek wzorowany na architekturze sakralnej został także konsekrowany i dziś można tam wziąć ślub.

DRUGIE ŻYCIE CEGŁY

W Göteborgu, jak i wielu innych miastach o industrialnym rodowodzie, opuszczone, walące się i niekochane świątynie przemysłu stają się domem dla klasy kreatywnej. Dawne hale maszynowe dają schronienie i zapłon dla różnych form sztuki. Pod mostem niezgrabnie chowa się wielka „Czerwona Cegła” (Röda Sten). To dziwnie osamotniony budynek centrum kulturalnego, pokryty graffiti od podnoża do wysokich okien przywołujących na myśl gotyckie witraże. Obok, na żwirze, stoją rzeźby, a na nich, w anarchistycznym geście, wylegują się nastolatki. Po drugiej stronie budynku chłopak

ćwicz backflipy na małym skateparku. Pod mostem przepływa właśnie prom gigant obserwowany przez intelektualistów i göteborgską bohemę z tarasu przymuzealnej kawiarni.

W „Cegle” pokazywana jest właśnie sztuka wideo artystki o miękko-twardym imieniu Lilibeth Cuenca Rasmussen – pół Dunki, pół Filipinki. Nagrywa ona teledyski w estetyce klipów z MTV, rapując bądź wyśpiewując teksty o m.in. pokręconej tożsamości i tęsknocie. Jej sztuka wydaje się idealnie łąpać ducha Göteborga – miasta pół przemysłowego, pół kreatywnego, pół w recesji, pół w awangardzie



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ



FOT. SŁAWOMIR KOZDRAŚ

DZINSY Z DOŻYWCIEM

Salon lokalnej marki Nudie Jeans. W niemałą cenę spodni wliczona jest dożywnia usługa naprawy.



nowych trendów, pół dumnego, pół w kryzysie osobowości.

Ilustruje to lokalna scena muzyczna. Post-przemysłowy krajobraz nadaje kontekst rozbuchanej scenie deathmetalowej. Muzyka ciężka jak tankowiec jest logicznym wypełnieniem postindustrialnej pustki. Na szczęście nie trzeba jej słuchać na żywo, żeby zrozumieć, że pasuje do Göteborga jak młot do kowadła. Z drugiej strony obecnie najsłynniejszym muzycznym towarem eksportowym Göteborga jest nie morderczy gitarowy riff, a melodyjny elektro pop Little Dragon – hipsterskiej gru-

Największe targi
KONTRAKTACYJNE
w Europie Środkowo-Wschodniej



ORGANIZATORZY:



polskie stowarzyszenie rowerowe
organizacja polskiej branży i gromady rowerowej

KIELCE BIKE-EXPO

Międzynarodowe Targi Rowerowe

24-26 września 2015

KIELCE MOTO-EXPO

Targi Motocykli i Skuterów

PARTNER STRATEGICZNY:



www.bike-expo.targikielce.pl • www.moto-expo.targikielce.pl

Współpraca:



Patronat medialny:



BIKEWORLD.PL

velonews.pl

rowery.pl

SZOSA

R E K L A M A

py ubóstwianej wszędzie, gdzie dotarła trzecia fala kawy i organiczne ciasta marchewkowe.

Symbolem Göteborga jest posąg barokowo potężnego Posejdona. Bóg mórz stanął na placu przed muzeum narodowym z okazji trzechsetnej rocznicy założenia miasta, na czas światowej wystawy przemysłowej. Miał reprezentować potęgę portu, siłę fizyczną i witalną. Nagi bóg obdarzony został przez artystę adekwatnie imponującym przyrodzeniem. W mieście podniosły się krzyki, że to nie przystoi, i pod presją opinii publicznej artysta musiał interweniować.

Posejdonowi ostał się atrybut wielokrotnie mniejszy i tak umięśniony heros stał się pół mężczyzną, pół chłopcem, pół władcą mórz, pół małym bratem, jednocześnie potężnym i wątłym, dumnym i lekko zawstydzonym. Posejdon jako uosobienie kontrastów – jak Göteborg. ○



Sławomir Kozdraś

Fotograf, autor i zapałony podróżnik. Zwycięzca kilkunastu konkursów fotograficznych. Dla miesięcznika Poznaj Świat opisuje i fotografuje wszelkie zakątki świata, osadzając zagadnienia kulturowe i historyczne w kontekście ekonomiczno-społecznym. Absolwent London School of Economics. Gdy nie podróżuje z aparatem, jest unijnym ekspertem od regulacji finansowych.



FOT. SHUTTERSTOCK

PRZYJACIELE PO KRES (WAKACJI)

„Prześlę ci zdjęcia po powrocie do domu. Pierwsza rzecz!”
Któż z nas nie usłyszał lub nie wygłosił tego pięknego kłamstwa?

Wspólnie zdobywamy szczyty, odkrywamy urokliwe zakątki, delektujemy się nowymi smakami. Razem stawiamy też czoła niespodziankom, jakie fundują podróżnikom pogoda, rozkłady jazdy i co poniektóre składniki lokalnej kuchni. Gdy podróż dobiega końca, jesteśmy przekonani, że zły lub dobry los związał nas już na zawsze,

niczym Stasia i Nel. Żegnamy się czule, obiecując rychłe spotkanie, a potem... niespodziewanie... zapada milczenie.

Z początku ludzimy się jeszcze, że już wkrótce obrobimy wreszcie te fotki i roześlemy je, dołączając propozycję spotkania, ale im więcej czasu mija, tym bardziej niezręcznie jest nam się odzywać. Wypadałoby przecież na wstępie jakoś wytłumaczyć się z faktu,

że tak długo siedzieliśmy cicho, ignorując uczucia poznanych na szlaku przyjaciół.

Staś po wspólnej tułaczce oświadczył się Nel. A my co? Z drugiej strony jednak, Nel też się nie odzywa – i to po tym wszystkim, cośmy razem przeszli?! – więc jesteśmy jakoś usprawiedliwieni. Gdy w końcu spotykamy delikwentkę w galerii handlowej, zdajemy sobie sprawę, że przez te wszystkie lata zdążyliśmy zapomnieć jej imię (Saba?), a jednocześnie wciąż nie zdążyliśmy obrobić zdjęć ze wspólnego wyjazdu. I w panice nurkujemy za filar.

Mnie samej zdarzało się znajdować poupychane w kieszeniach kurtek i głębinach plecaków karteczki z napisanymi cudzym charakterem pisma adresami, przy których widniały nic niemówiące mi imiona. Wstyd mnie ogarniał na myśl, że serdeczne i ufne osoby, które w przyływie entuzjazmu ot tak zaprosiły mnie do domu (a może jednak tylko prosiły o przesłanie zdjęcia?), tak łatwo i bez śladu zniknęły z mojej pamięci. Z drugiej strony, pewnie jeszcze bardziej niż ja zdezorientowani byłiby sami zapraszający, gdybym jednak po wielu latach stawiała się na progach ich domów. Zebrać wszystkie takie karteczki, przypiąć je pinezkami do mapy i wyruszyć w podróż do wszystkich „jednodniowych przyjaciół” – gotowy scenariusz filmu drogi!

Z jakiegoś powodu fakt bycia w drodze do wspólnego celu sprawia, że ludziom łatwo przychodzi zadziergnięcie nici przyjaźni i snucie nierzadko bardzo osobistych opowieści. Przekonałam się o tym niejednokrotnie, jeżdżąc autostopem. Choć jego obiegowa formuła mówi o „podróży za jeden uśmiech”, bardziej adekwatny byłby termin „na ucho”. Do ucha bowiem bywa na ogół sprowadzony przez kierowcę zgarnięty z drogi wagabunda. Długa droga oraz szeroki horyzont nastroją do rozmowy, autostopowicz zaś z wdzięczności wysłucha nawet najnudniejszej tyrady. Jednocześnie,

jako postać z natury rzeczy epizodyczna, gwarantuje dyskrecję. Jeżdżąc „na ucho”, na ogół słuchałam utyskiwań na pracę, politykę i upadek wartości. Zdarzało mi się jednak także ów upadek wartości w myślach konstatować. Pewien kierowca wypytał mnie szczegółowo o warunki życia w poszczególnych europejskich państwach i możliwości niedrogiej podróży, by na koniec wyjaśnić, że wykorzysta te wiadomości już wkrótce, gdy porzuci żonę i dzieci, by wieść bez troski żywot w jakiejś odległej krainie.

Podróżując stopem po Turcji, zakładałam, że moje ucho na nic się nie zda kierowcom, jako że nie było nawykłe do tureckiej mowy. Tymczasem okazało się, że i ten drobiaz nie był ich w stanie zniechęcić do wygłaszania zwyczajowych tyrad. Przerzucałam więc nerwowo rozmówki, starając się udawać pełnowartościowego interlokutora. Gdy zapadała cisza, sylabizowałam jakieś losowo wybrane pytanie (skąd pochodzisz, czy masz dzieci etc.), a przez kolejne kilkanaście minut odpoczywałam, słuchając rozbudowanej odpowiedzi. Najbardziej efektywnym okazało się wylosowane któregoś razu pytanie o ulubioną książkę. Nim dojechałam do celu, kierowca zdążył mi opowiedzieć zapewne połowę Koranu.

Innym razem, podróżując w męskim towarzystwie, odważyłam się przyjąć propozycję podwózki TIR-em. Choć komunikacja między nami a dwoma wesółkowatymi kierowcami ograniczała się do esperanto uśmiechów i gestów, zostaliśmy uznani za doskonałych towarzyszy podróży. Byli niepokieszeni, gdy dojechalśmy do celu i nadszedł czas rozstania. Usilnie próbowali nam coś zakomunikować za pomocą wyżej wspomnianych rozmówek, wskazując słówko „*yarin*” – jutro oraz „*hep beraber*” – wyrażenie wygłaszane przy toaście. Domyślił się, że proponują nam wspólny ochłaj kolejnego wieczoru, i grzecznie odmówiliśmy. Potem okazało się jednak, że ich intencje były krystaliczne: „*beraber*” znaczy bowiem „razem” – nasi

Nie zapomnij zamówić prenumeratę

Szczegóły na: www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

z książkami i przewodnikami

z atrakcyjnymi dodatkami

do Paładek mieszkających za granicą

dostępna w wersji elektronicznej

z biblioteką dla gimnazjów i szkół średnich

Prenumerata roczna już od 109 zł

Telefonicznie: +48 (58) 3508464, e-mail: prenumerata@poznaj-swiat.pl, SMS: 535444980.
treść: imię i nazwisko + adres, Przelew: BRE BANK SA 77 140 1065 0000 2145 6200 1004
w tytule pełne dane adresowe + okres prenumeraty, Listownie: 80-252 Gdansk, ul. Jaskowa Dolina 17

R E K L A M A

kierowcy nalegali po prostu na ponowne spotkanie nazajutrz.

Zauważono, że doświadczenia mityczne – nagle przebłyski inspiracji i natchnienia – często mają miejsce w kontekście drogi. Sprzyjają im przesuwające się przed oczami krajobrazy, tempo pieszej wędrówki, rytm wybijany przez koła pociągu. W podróży wysłuchałam mnóstwa historii: natchnionych tyrad wędrujących guru, melancholijnego wspomnienia Paryża wygłoszonego przez byłego żołnierza Wehrmachtu, opowieści energicznego osiemdziesięciolatka, który jest wciąż

w drodze, bo „nie zbiera znaczków, a państwa”. Choć treść tych opowieści wywoływała we mnie różne emocje, to sam fakt, że ze wszystkich ludzi to właśnie mnie było dane ich wysłuchać, miał w sobie coś z cudu.

Mogę zapomnieć wszystkie imiona, ale opowieści na pewno ze mną zostaną po kres (nie tylko wakacji). ○

Marta Natalia Wróblewska
Tłumaczy z włoskiego, angielskiego i francuskiego. Kręci się po świecie, szukając słów (m.in. swojego doktoratu).



Magdalena Żelazowska

GDZIE PTAKI ZIMUJĄ

FOT. SHUTTERSTOCK

Niewiele jest miejsc na Ziemi, w których wszystko wygląda tak, jak na Początku. Gdzie wśród szumu fal i śpiewu ptaków niepodzielnie panują zwierzęta. Z daleka od lądu, na lazurowych wodach Pacyfiku to wciąż możliwe.

Półwysep Paracas w Peru. Płaski, pustynny krajobraz. Bezkres żółtego piasku smagany oceanicznym wiatrem, szepczącym o duchach indiańskich plemion. Strome klify urwistego wybrzeża wpadają w huczące, turkusowe fale. Gorąco. Na rozżarzone niebie ani jednej chmurki, która mogłaby przynieść deszcz. Po piasku ślizgają się cienie przelatujących ptaków. To tutaj w połowie XIX w. wybuchła biała gorączka.

DOCHODY Z ODCHODÓW

W 1839 r. Peru groziło bankructwo. Zadłużony kraj, wyniszczony przez wojnę o niepodległość, wewnętrzne konflikty i kilkaset lat hiszpańskiej kolonizacji, stanął na krawędzi skrajnego ubóstwa. Ale na początku nowej dekady dokonano tu ciekawego odkrycia. Na wyspach Chincha przy południowym wybrzeżu natrafiono na nieregularne, kilkudziesięciometrowe wzgórza wydzielające specyficzny zapach. To były góry białego złota, czyli ptasiego guano, które przez setki lat nieprzerwanie odkładało się w dogodnych, unikalnych w tym rejonie warunkach klimatycznych. Największe złoża cennego naturalnego nawozu na świecie! Jak miało się okazać – takich miejsc było w Peru więcej.

Guano, czyli odchody nietoperzy lub morskich ptaków, dzięki bogatej zawartości składników mineralnych jest wartościowym nawozem. Było stosowane już w czasach Inków, a światowe uznanie zyskało dzięki wprowadzeniu go do Europy. W czasach przed



wynalezieniem nawozów sztucznych z powodzeniem stosowano je do wzbogacania zubożałych, wyjąłowionych gleb.

W połowie XIX w. świat oszalał na punkcie tego cennego surowca. 18 sierpnia 1856 r. Stany Zjednoczone uchwaliły „Guano Act” – ustawę o wyspach z guano, która pozwalała obywatelom USA obejmować w posiadanie niezamieszkałe i niezajmujące się pod jurysdykcją innych państw wyspy z pokładami nawozu, w dowolnym miejscu na świecie. Na wody mórz i oceanów wypłynęły eskapady śmiałków, marzących o odnalezieniu zasobnych skrawków lądu, które miały im zapewnić bogactwo na resztę życia. Kierunek ich poszukiwań wyznaczały wędrówki morskich ptaków, znoszących, można powiedzieć, złote jajka.

Odkrycie pokładów guana sprawiło, że do Peru zaczęły się ustawiać kolejki chętnych inwestorów, a miejscowi politycy zacierali ręce, kreśląc przed narodem wspaniałe wizje bogac-

twa i rozwoju. Natychmiast rozpoczęto prace wydobywcze i poszukiwania kolejnych złóż. Kraj nie nadążał za nagłym przypiływem obfitości, brakowało infrastruktury wydobywczej, a przede wszystkim transportowej. Dotychczas krajowa logistyka opierała się głównie na sile pociągowej zwierząt. Zapotrzebowanie na wydobycie nawozu bezpośrednio przyczyniło się do konstrukcyjnego boomu peruwiańskiej kolei, niezbędnej do usprawnienia eksportu surowca. W pracach projektowych i konstrukcyjnych znaczący udział miał słynny polski inżynier Ernest Malinowski.

Możliwość wydobycia nawozu przyciągnęła firmy brytyjskie i chilijskie. Gorączkowo poszukiwano ludzi do wydobycia nawozów zawierających szkodliwą dla zdrowia saletrę. Do tego celu przywożono nieświadomych niczego, niepiśmiennych mieszkańców Wyspy Wielkonocej, powodując dramatyczny spadek ludności z kilku tysięcy do niewiele ponad setki.



POWRÓT DO EDENU

Na Islas Ballestas mieszkają tylko zwierzęta. Turyści mogą podglądać je wyłącznie z pokładów motorówek.

W 1879 r. złoża guano w Ameryce Południowej stały się jedną z przyczyn tzw. wojny o saletrę pomiędzy Chile a Boliwią i Peru. Terytorium spornym stała się bogata w surowiec część pustyni Atacama leżąca u wybrzeży Pacyfiku. W wyniku pięcioletniego konfliktu, zakończonego zwycięstwem Chile, Peru straciło prowincję Tarapacá, a Boliwia dostęp do morza. Na przestrzeni kolejnych lat, wraz ze zmniejszeniem się złóż i wprowadzeniem nawozów sztucznych, znaczenie guano spadło. Całe zamieszanie znacznie ucichło, a panowanie na terenach objętych dawną gorączką stopniowo trafia z powrotem w ręce natury.

SKRZYDLATA KOMUNA

Kormorany, pelikany, albatrosy, pingwiny, flamingi i wiele innych – mimo ograniczonej przestrzeni na wyspach panuje międzygatunkowa zgoda.



FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA



OCEAN SPOTYKA PUSTYNIĘ

Piaszczyste pustkowia, smagane wiatrem klify i spienione fale – oto krajobraz półwyspu Paracas.

FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

MAŁE GALAPAGOS Z WIELKIM KANDELABREM

Reserva Nacional de Paracas to najważniejszy na wybrzeżu Peru rezerwat ptactwa i zwierząt morskich. Tworzą go półwysep i zatoka Paracas oraz wyspy Islas Ballestas, które do lat 1950. były jednym z kluczowych punktów pozyskiwania nawozu w tym rejonie. Obecnie wydobywanie zostało mocno zredukowane, a wyspy pozostają niezamieszkałe przez człowieka. Ze względu na bogactwo gatunków ptaków i zwierząt nazywane są „Małymi Galapagos”.

Bogata fauna to zasługa zimnego oceanicznego Prądu Humboldta płynącego z Antarktydy, który utrzymuje umiarkowaną temperaturę okolicznych wód i przynosi z sobą odżywczy plankton. Dzięki niemu występują tu delfiny, żółwie, meduzy, foki oraz lwy morskie, czyli uchatki kalifornijskie. Rezerwat Ballestas jest stałym i tymczasowym domem dla niezliczonych gatunków ptaków, które przystają tu podczas swoich podniebnych wędrówek. Żyje tu także około 200 gatunków ryb. Z tych ostatnich w lokalnych knajpkach podaje się regionalny przysmak – sałatkę *ceviche*, która wywodzi się z czasów Wicekrólestwa Peru – hiszpańskiej kolonii założonej w 1544 r. ze stolicą w Limie. *Ceviche* przygotowuje się z surowego mięsa ryb, krótko marynowanego w soku z limonki z do-



SUROWA DIETA

Ceviche, tradycyjny przysmak przyrządzany z surowego mięsa ryb, marynowanego w soku z limonki.

datkiem papryki, cebuli i soli. Dzięki temu przystawka jest soczysta i aromatyczna.

Na wyspy w ciągu godziny można się dostać motorówką z portu Pisco, który znalazł się na trasie pierwszej linii kolejowej Pisco – Ica, zaprojektowanej przez Malinowskiego w 1859 r. Mimo słonecznej pogody warto się ciepło ubrać – na wodzie jest raczej chłodno i wieje silny wiatr. Paracas w języku Indian Keczua oznacza burzę piaskową, która nie jest rzadkością na wpisanym na

listę UNESCO półwyspie.

Suche jak pieprz, piaszczyste wybrzeże, które widać z pokładu łodzi, zamieszkiwały plemiona z poprzedzającej Nazca kultury Paracas. To im przypisuje się autorstwo datowanego na II wiek p.n.e. geoglify El Candelabro – 250-metrowego rysunku w kształcie świecznika, wrytego w nabrzeżnej skale. Symbol jest świetnie widoczny z łodzi, dlatego uważa się, że miał służyć marynarzom jako punkt orientacyjny. Inne teorie powstania Candelabro mówią o podobieństwie znaku do występującej w okolicy halucynogennej rośliny lub udziale przybyszów z kosmosu.

NA ŚWIECZNIKU

El Candelabro, wryty w nabrzeżnych skałach rysunek, był punktem orientacyjnym dla marynarzy lub... kosmitów.





FOT. MAGDALENA ZELAZOWSKA

NA KUPIE RAŻNIEJ

Pokryte guanem Islas Ballestas wyrastają pośrodku oceanu. Łąd to tutaj towar deficytowy, dlatego ptasi przybysze wykorzystują każdą wolną skałkę.

FOT. SHUTTERSTOCK

PTASIE RADIO

Na horyzoncie rysują się białe, poszarpane skały, nad którymi unoszą się stada ptaków. Z daleka obiegają ich coraz wyraźniejszy pisk, a z bliska – specyficzny zapach. Uzbrojona w lornetkę i aparat zaczynam ptasie safari. Sprawa nie jest prosta, bo poza swojskimi mewami większość z gatunków jest mi nieznana. Islas Ballestas zamieszkują czarne pelikany, kormorany czerwono-nogie, głuptaki peruwiańskie, fregaty wielkie, sępniaki różowogłowe i albatrosy. We wszechobecnym ptasim rwetesie staram się wyłowić różne rodzaje śpiewu.

Z bliższej odległości okazuje się, że wyspę zamieszkują tysiące nietoperzy, które w ciągu dnia zwisają głową w dół w skalnych szczelinach dobrze widocznych z pokładu motorówki. Kiedy przestają zadzierać głowę, żeby spoglądać na niebo, dostrzegam, że wyspa ma też mieszkańców, którzy nie latają. Pingwiny! Stada pociesznych istot o czarnych dziobach, zwane pingwinami peruwiańskimi lub pingwinami Humboldta, pokrywają czarno-białą szachownicą nasłonecznione grzbiety skał.

Każda kolejna zatoczka odkrywa następne niespodzianki. A to wygrzewające się foki, a to dumnie zasiadające na wielkich głazach lwy morskie, które raz po raz zaznaczają swo-

ją obecność donośnym rykiem. Głodni zdjęć i wrażeń pasażerowie motorówki przechylają się to na jedną, to na drugą burtę, niebezpiecznie kołysząc łodzią. Sternik kontrolnie pokrzykuje, próbując się przebić przez rozwrzeszczane ptasie radio. To na nic, bo właśnie nadleciały flamingi! Rzadcy goście na wyspach, którzy tutaj tylko zimują. Czerwono-białe ptaki, zwane czerwolakami, mają pióra w kolorze peruwiańskiej flagi. Według legend generał José Martín po przybyciu do Peru w 1820 r. zobaczył ogromne stada flamingów. Uznał to za znak opatrności i tym sposobem ptaki zyskały wpływ na narodowe barwy kraju. Biel odzwierciedla pokój, czystość i prawość, a czerwień – odwagę i wojnę.

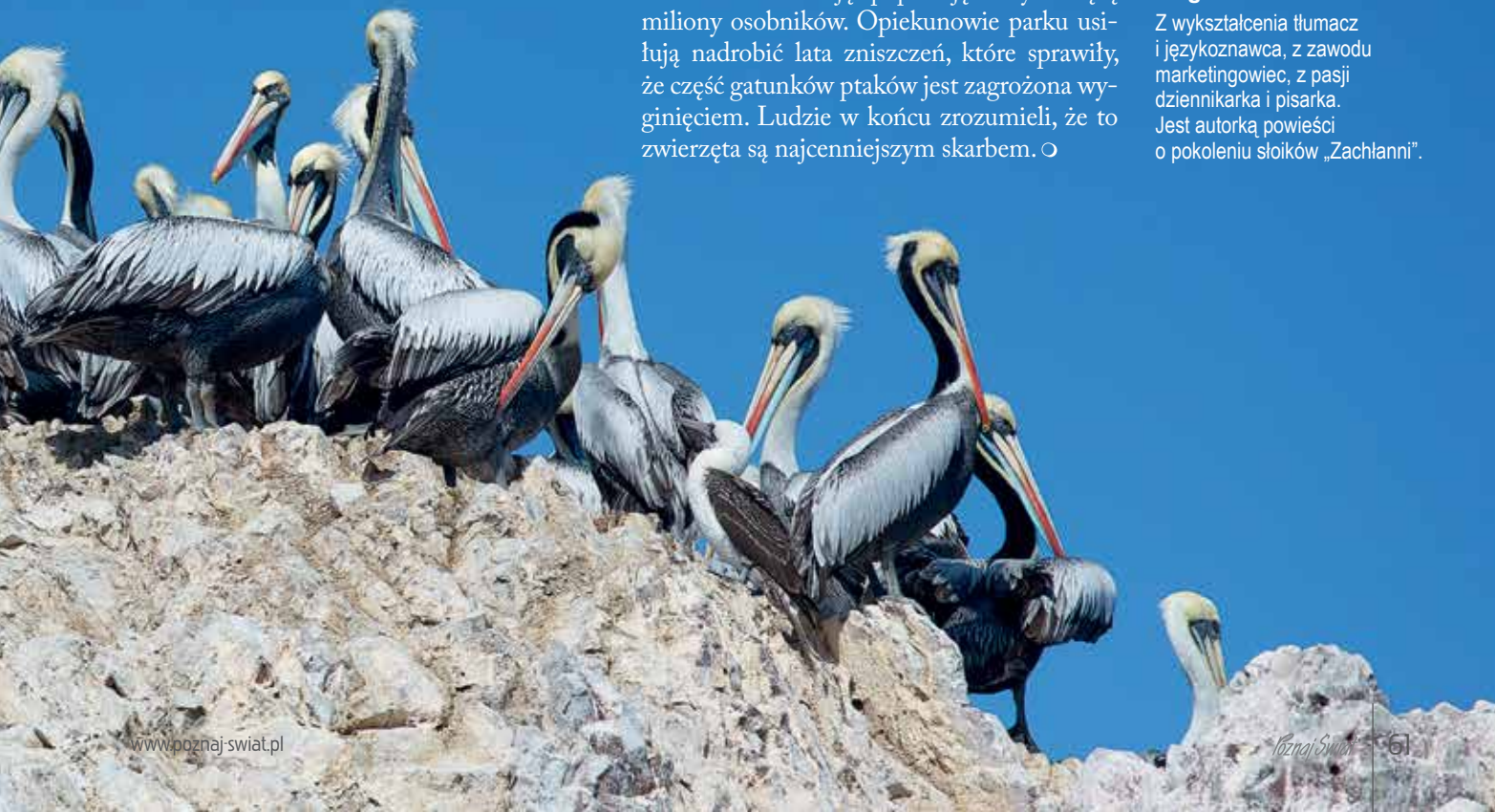
Sternik wyłącza silnik i wskazuje kolejne trofea. Pelikany o wielkich dziobach i smukłe szyje kormoranów. Czerwonodziobe rybitwy wąsate, z charakterystycznymi żółtymi plamkami i białymi zawijasami na łebkach. Rude rozgwiazdy przyklejone do skał tuż nad powierzchnią wody. Sycimy wzrok, by zbyt długo nie zakłócać spokoju wysp. Musimy odpłynąć przed zachodem słońca.

Mieszkańcy Islas Ballestas są dziś otoczeni troskliwą opieką. Jednym z nich jest nurzec peruwiański, którego gniazda lęgowe niszczone podczas wydobycia nawozu, niemal całkowicie likwidując populację kiedyś liczącą miliony osobników. Opiekunowie parku usiłują nadrobić lata zniszczeń, które sprawiły, że część gatunków ptaków jest zagrożona wyginięciem. Ludzie w końcu zrozumieli, że to zwierzęta są najcenniejszym skarbem. ○



Magdalena Żelazowska

Z wykształcenia tłumacz i językoznawca, z zawodu marketingowiec, z pasji dziennikarka i pisarka. Jest autorką powieści o pokoleniu słoików „Zachlanni”.





ZEBRY SPOŁECZNE

Zebry, podobnie jak konie, iskają się. W ten sposób spełniają swoje potrzeby społeczne oraz pielęgnują sierść



OSŁONIĆ SŁONIE

Również słonie są narażone na regularne ataki ze strony kłusowników. Przeszkodę w podjęciu skutecznej ochrony stanowi skorumpowana policja oraz migracja zwierząt poprzez granice państw, w których panuje odmienne prawo.

Natalia Rożniewska

WETERYNARZ NA DZIKO

To będzie moja druga wizyta w tej części kontynentu. Ostatnim razem, kiedy wracałam do domu, miałam łzy w oczach. Nabierając prędkości na płycie startowej lotniska, już czułam, że będę bardzo tęsknić za Danny – młodziutką sierotką nosorożca, którą wychowywałam i dla której byłam jak mama, bo tę biologiczną pogrzebali kłusownicy.

Ocalone nosorożce muszą przejść długi proces, zanim będą w stanie powrócić na wolność. Jeden z jego etapów zakłada, że zastępcze matki będą się zmieniać co miesiąc, dzięki czemu sierota nie przywiąże się do jednej osoby. Emocje jednak trudno powstrzymać. Pokochałam Danny od pierwszej chwili, kiedy ta, zmęczona zabawą, położyła łepkę na moich kolanach i zasnęła beztrudnie, pochrapując cichutko. Przyjazd Australijki zakończył moją misję – to ona miała przejąć kolejną zmianę. Choć odjeżdżałam z trudem, to obiecałam sobie, że jeszcze wrócę do Afryki. Będę ratować nosorożce.

NOCNY CHICHOT HIEN

Mińło półtora roku, jednak kiedy ląduję w Johannesburgu, czuję, jakbym wracała do siebie. Wśród wystraszonych turystów stawiam pewne kroki i nie daję się zaczepić naganiaczom. Idę się spotkać z Tiną i Jo – studentkami wiekańskiej i londyńskiej uczelni weterynaryjnej, które równoległe ze mną zakwalifikowały się do



PIJ MLEKO, BĘDZIESZ WIELKA
Mała Danny wypijała butelkę mleka co trzy godziny, tak w dzień, jak i w nocy. Na tym zdjęciu ma raptem miesiąc.

udziału w praktykach. Wspólnie wynajmujemy samochód i ruszamy w stronę Parku Krugera.

Do bram docieramy w ostatniej chwili. Po 18 nie zostałybyśmy już wpuszczone. Obok nas ciągnie się sznur samochodów w stronę wyjazdu. Raz do roku miejscowi mogą bezpłatnie wziąć udział w safari. Chociaż mieszkają tak blisko królestwa dzikich zwierząt, nie stać ich na kosztowne opłaty za wstęp. Większość czarnoskórej ludności po raz pierwszy w życiu widziała lwy, słonie czy żyrafy. To istotny problem Afryki. Ludzie, których nie uczy się wrażliwości i szacunku do zwierząt,

KTO TAM?

Hipopotam – najbardziej niebezpieczne zwierzę w afrykańskim parku ze względu na silny instynkt terytorialny. Najczęstsze ofiary ataków to nieuważni rybacy.



ŻYCIA KRĄG

Sępy zdradzające obecność padliny w okolicy to również okazja na wypatrzenie dużych drapieżników. Dla mieszkańców parku taki widok to codzienność.





FOT. NATALIA ROZNEWSKA



FOT. NATALIA ROZNEWSKA

nie mają później oporów, by do nich strzelać. Większość postrzega je jako szkodniki, bo jeśli przez plantację przejdzie stado słoni, to cała rodzina będzie głodować, a państwo im nie pomoże.

Pierwszy dzień pracy w jednym z najstarszych parków Afryki – z ekipą specjalistów musimy złapać trzy hieny, którym należy wykonać testy na gruźlicę. Chorobę, która zagraża także stadom bydła żyjącym przy granicy parku i rolnikom. Za przynętę służy nam kończyna antylopy oraz głosić emitujący przeraźliwe kwiczenie guźca na zmianę z rykiem konającego bawołu. Siedzę na pace samochodu terenowego i wpatruję się w ciemność. Muszę być ostrożna – tej samej przynęty używa się do przywoływania lwów. Wytężam wzrok, ale nic nie widzę. Powoli odpływa ze mnie napięcie, gdy nagle słyszę dobrze mi znany z filmów animowanych śmiech. Odpowiada mu następny. Nie mam żadnych wątpliwości. To hieny.

Muszę zachować absolutną ciszę – nawet najdrobniejszy ruch mógłby spłoszyć zwierzęta, które już zwęszyły padlinę. Jedyne, co udaje mi się dostrzec, to przemykające cienie, które to pojawiają się, to znikają. Wydaje się, że hieny są wszędzie dookoła. Z pewnością nas widzą, my jednak nie widzimy ich. Ukradkiem dostrzegam, że weterynarz przygotowuje broń i obiera cel. Wreszcie jedna z samic, prawdopodobnie przewodniczka klanu, podchodzi bliżej. Wszystko, co następuje później, dzieje się w ułamkach sekund. Pada światło latarki, hiena wycofuje się, słychać strzał. Na szczęście celny, jednak zanim środek znieczulający zacznie działać, samica odbiega w głąb buszu. Buszu, w którym wciąż czają się pozostałe hieny spragnione mięsa.

Dzielimy się na mniejsze grupki i ruszamy na poszukiwania. Jako pierwsza odnajduję śpiącą niewinnie pa-



cjentkę. Wołam resztę ekipy, kładziemy hienę na nosze i przedzieramy się z powrotem w stronę samochodu. Idę przodem, gdy nagle serce podskakuje mi do gardła i czuję, jak miękną mi nogi. Przede mną stoi hiena. Patrzymy na siebie dłuższą chwilę, w końcu zwierzę oślepione przeze mnie latarką odchodzi.

Podobny scenariusz powtarza się dwukrotnie. Tym razem jednak zostaję na pace samochodu i monitoruję funkcje życiowe śpiących pacjentek. Kiedy dojeżdżamy do szpitala, hieny zostają poddane dokładnym badaniom. Jedna z nich ma złamaną nogę. Nie mamy możliwości operowania, gdyż długa rehabilitacja zaprzepaściłaby szansę powrotu zwierzęcia



FOT. NATALIA ROZNEWSKA

WSTAWAJ, SZKODA DNIA

Hieny przed wypuszczeniem na wolność są dokładnie badane. Obudzą się w ciągu kilku minut od podania antidotum, cały czas pod czujną obserwacją weterynarzy.

na wolność. Kość jest już w fazie regeneracji, a że zwierzę jest młode, ma szansę samodzielnie sobie poradzić. Po trzech dniach odczytujemy wynik badania na gruźlicę, który jest negatywny, i wypuszczamy dziewczynę.



PRZEPROWADZKA BEZSTRESOWA

Dzięki działaniu leków nosorożec jest nieświadomy, ale stoi o własnych siłach. Strażnicy pomagają zwierzęciu wejść do boksu, w którym pojedzie do nowego domu.

DZIKA PRYWATYZACJA

Grupa turystów przygląda się przeprowadzce nosorożców. Za udział w spektaklu musieli jednak słono zapłacić, współfinansując w ten sposób całą tę operację. Zwierzęta czeka kilkanaście godzin podróży do prywatnego parku, gdzie szanse na atak kłusowników są znacznie mniejsze.





FOT. NATALIA ROZNEWSKA



FOT. NATALIA ROZNEWSKA



FOT. NATALIA ROZNEWSKA

NOCNA ZMIANA

Lekarze pobierają wydzielinę z tchawicy hieny do badania na obecność gruźlicy. W parku zwykle pracuje się w nocy, ze względu na porę aktywności drapieżników i nieznośne upały za dnia.

ŚCIŚLE TAJNE W BUSZU

Już po kilku dniach zaczynam rozumieć, czym różni się praca weterynarza w miejskiej lecznicy, od takiego, który nadzoruje park pełen dzikich zwierząt. Do obowiązków tego drugiego należy ratowanie za wszelką cenę życia jednego osobnika. Jego troską jest natomiast dobro całej populacji. Musi wiedzieć, jakie choroby występują na danym terenie i ograniczać ich rozprzestrzenianie. Stąd tak ważne są badania naukowe, którym mam okazję przyjrzeć się z bliska podczas pracy w laboratorium. Pod koniec tygodnia wyniki najważniejszych badań są przedstawione na konferencji, na którą przyjechali lekarze weterynarii z całego kraju.

Głośne dyskusje przerywa telefon. Turyści poinformowali patrol o rannym, prawdopodobnie postrzelonym nosorożcu. W przypadkach, kiedy to człowiek odpowiada za krzywdę zwierzęcia, natychmiast podejmowana jest akcja ratunkowa. Przez kilka godzin przeszukujemy busz, tym razem bez rezultatu.

Ochrona przed wprowadzeniem do parku chorób zakaźnych obejmuje również zakaz trzymania psów lub innych pupili przez pracowników mieszkających na jego terenie. Skukuza to małe miasteczko w środku buszu – funkcjonuje tam szkoła dla dzieci, małe lotnisko, gabinet lekarski, kościółek, przed którym najczęściej pasą się antylopy impala, a nawet pole golfowe, basen i kilka drobnych sklepików. Niemal wszędzie jednak trzeba poruszać się samochodem, nawet przy najmniejszych odległościach, ponieważ tereny te są regularnie nawiedzane przez dziko żyjące drapieżniki.

W wolnych chwilach odwiedzam Klokiego i zmieniam mu opatrunek na nodze. Także ten nosorożec omal nie stał się ofiarą kłusowników. Obok niego w dużych zagrodach czekają zwierzęta wystawione na aukcję. W RPA panuje nieustanny handel pomiędzy parkami. To jedyna opcja zachowania różnorodności genetycznej – dawniej zwierzęta mogły przemierzać niemal cały kontynent, dzisiaj pozamykane są w ostatnich enklawach dzikości. Przed wejściem do Klokiego muszę oddać aparat. Władze obawiają się kłusowników do tego stopnia, że nie chcą dopuścić, by jakiegokolwiek zdjęcie z tego miejsca trafiło do Internetu. Jestem w ściśle tajnej części rezerwatu, której lokalizacja musi pozostać tajemnicą.



FOT. NATALIA ROZNEWSKA

HOŻY DOKTORZY

W wieloosobowej ekipie każdy ma swoje zadanie, dzięki czemu znieczulenie nosorożca trwa krótko – tutaj autorka pobiera materiał do badań genetycznych.

AKCJA NOSOROŻEC

Poniedziałek i pobudka o 3 nad ranem. Choć do bazy weterynarzy mam raptem sto metrów, muszę iść bardzo ostrożnie. Ostatnio w okolicy widziano lamparta. Zaczynamy



PRZEPISOWO

Ponieważ w RPA obowiązuje ruch lewostronny, piesi po jezdniach chodzą prawą stroną.

WIELBŁADOPARDY

Tak w przeszłości nazywane były żyrafy, ponieważ uważano je za krzyżówkę wielbłąda i lamparta.





FOT. NATALIA ROZNIIEWSKA

przygotowania, pomagam zapakować sprzęt na pakę, aby na końcu sama przykucnąć w kacie. Tniemy przez busz, cały korowód samochodów terenowych i ciężarówek. Zimny wiatr czochra moje włosy, czuję rosnącą ekscytację. Ostre hamowanie oznacza gości na drodze, więc za każdym razem wychylam się za kabinę samochodu. Raz niespodziewanie trzy lwice leniwie przeszły tuż przed samochodem – dosłownie na wyciągnięcie ręki.

Misja na najbliższych pięć dni to schwytać 30 nosorożców i bezpiecznie je przetransportować do prywatnych parków, których w RPA jest wielokrotnie więcej niż narodowych. Wielki Kruger nie jest już bezpiecznym miejscem dla tych niezwykłych stworzeń, których róg wart jest więcej niż złoto czy heroina. W krajach azjatyckich służy on jako remedium na rozmaite choroby, ostatnio stał się również popularnym „narkotykiem” wśród wietnamskich milionerów. Kłusownicy są gotowi ryzykować życie, aby go zdobyć, a smutne statystyki wciąż rosną. Większe parki są trudne do kontrolowania, zwłaszcza że przeciwnik jest doskonale wyposażony i często atakuje z powietrza. W prywatnych parkach nosorożce wciąż będą żyły wolno, a o ich bezpieczeństwo zadbają przeszkoleni strażnicy podążający tropem zwierząt w dzień i w nocy.

Hałas śmigieł nadlatującego helikoptera oznacza, że jesteśmy blisko. Maszyna kładzie się niemal poziomo, a weterynarz wychyla się niebezpiecznie, obierając cel. Wówczas akcja nabiera tempa. Chwytam igły z probówkami i biegnę w kierunku leżącego nosorożca. Mam za zadanie pobrać krew oraz podać antydotum, po którym zwierzę się wybudzi. Pozostali członkowie ekipy wiercą w tym czasie dziurkę w rogu nosorożca, w której umieszczają mikrochip pozwalający śledzić zwierzę. Mamy tylko 20 minut na wykonanie zadania, dłuższe znieczulenie byłoby niebezpieczne dla nosorożca, więc każdy uwija się, jak może.

Od samego początku towarzyszy nam tłum gapiów. To turyści, którzy za niebotyczną kwotę mają możliwość obserwacji naszych działań. To oni w dużej części sfinansowali akcję przeprowadzki nosorożców. RPA oferuje cały wachlarz atrakcji pełnych emocji, jednak nie wszystkie przyczyniają się do ochrony przyrody, często na przekór pozorom.

Na przykład sierocińce dla lwiątek. Z otwartymi rękoma przyjmują wolontariuszy z całego świata, doświadczenie nie jest wymagane. Wystarczy... darowizna kilku tysięcy dolarów na rzecz ośrodka, aby móc do woli przytulać i bawić się z kociakami, a później powiesić w domu niezwykle zdjęcia.

Mało kto docieka, co dzieje się dalej. Dorastające lwy stają się bardzo niebezpieczne i trafiają na farmy. Tam zaś kolejni turyści o nieco odmiennych upodobaniach mogą samodzielnie zdobyć prawdziwe trofeum. W zamkniętej zagrodzie wystawiane na odstrzał lwy są bez szans.

W drodze powrotnej jest jedno wolne miejsce w helikopterze, więc dołączam do grona zamożnych gości i zajmuję fotel obok pilota. Suniemy tuż nad koronami drzew. Podziwiam galopujące stado słoni i spłoszone żyrafy. Rozpalone do czerwoności słońce góruje nad sawanną, gdy my wznosimy się coraz wyżej. Uśmiech nie znika z mojej twarzy przez cały dzień. Wieczór spędzam, relaksując się nad jeziorem ulubionym przez hipopotamy i wsłuchując się w ich chrumkania. Czuję się, jakbym doświadczała chwili, na którą od dawna czekałam. Za darmo. ◯



FOT. NATALIA ROZNIIEWSKA



FOT. NATALIA ROZNIIEWSKA

Natalia Roźniewska

Świeżo upieczony lekarz weterynarii. Łączy przyjemne z pożytecznym, podróżując po świecie i pracując jako wolontariuszka przy projektach ratujących dzikie zwierzęta.



FOTOGRAF W DRODZE
Mikołaj Gospodarek

A MOŻE MORZE?

Górskie plenery kojarzą się z trudem wędrowki, wspinaczki. Natomiast kiedy myślimy o fotografowaniu wybrzeża, wydaje się to zajęciem łatwym i przyjemnym. Nic bardziej mylnego. Zdecydowanie łatwiej wykonać dziesięć pięknych górskich kadrów niż jedno dobre zdjęcie z morskimi falami. Jak ciekawie ująć płaską taflę wody? Jakie światło jest najlepsze i czy długi czas naświetlania to przepis na sukces?

Nie trzeba być znawcą, żeby stojąc na plaży w Łebie, Gdyni, Międzyzdrojach czy Saint Tropez, stwierdzić, że w tym pejzażu nie ma „nic” ciekawego. Piasek, woda, niebo. Trzy niezwykle płaskie elementy, które ujęte z wysokości oka dorosłego człowieka stają się niezwykle nudne. Połową sukcesu jest znalezienie mocnego punktu na pierwszym planie. Idealnym rozwiązaniem jest użycie obiektu szerokokątnego, a więc mamy duże pole do popisu. Co może stać się pierwszym planem? Wybieram najróżniejsze

elementy – kutry, duże głazy, falochron, skały, szklaną butelkę – cokolwiek, co przyciągnie wzrok i zapełni pustkę. Kilka razy zdarzyło mi się też wykorzystać struktury wyrzeźbione w piasku przez wiatr, do tego jednak trzeba mieć dużo szczęścia i pustą plażę, po której nikt nie chodzi.

Zakładając, że mamy pierwszy plan, powiedzmy duży głaz obmywany morskimi falami, musimy podjąć decyzję, jak pokazać wodę. To najtrudniejsze zadanie. Istnieją dwie szkoły – jedna stosuje bardzo krótkie czasy naświetlania, druga bardzo długie, tworząc z wody bardziej mgłą niż dynamiczne fale. Jak wiadomo, o gustach się nie dyskutuje. Ja dla równowagi wykonuję zdjęcia na krótkich i długich czasach, w zależności od tego, co chcę pokazać, a najważniejszym czynnikiem jest pora dnia. Tu przechodzimy do bardzo ważnego elementu. Polskie wybrzeże daje dwie możliwości – idealny wschód słońca sfotografujemy w Zatoce Gdańskiej, a piękne zachody na całej długości wybrzeża od Helu po Świnoujście. Nigdy jednak odwrotnie! W zależności od pory roku słońce będzie znikać w wodzie, ale w miesiącach jesienno-zimowych warto pamiętać, że zachód może znaleźć się poza morzem. Kilka razy w Polsce fotografowałem wschód słońca przy klifie w Orłowie i tego samego dnia zachód słońca na przykładu Rozewie. Możliwość wykorzystania słońca porannego i wieczornego dają nam w głównej mierze niewielkie wyspy. Idealnym miejscem do takich plenerów jest niemiecka Rugia, na której wie-

lokrotnie fotografowałem Bałtyk, właśnie dlatego, że mogłem wykorzystać dwa najpiękniejsze momenty dnia, a przemierzenie wyspy samochodem ze wschodu na zachód zajmowało kilkadziesiąt minut.

Mamy już pierwszy plan, zdecydowaliśmy, co zrobimy z wodą, pozostało więc niebo. To kluczowy element i niestety w zdjęciach morskich decydujący. „Niestety” dlatego, że często świeci piękne słońce, spokojne fale uderzają o brzeg, a na niebie „blacha” – nic się nie dzieje, nuda straszna. To przekleństwo morskich plenerów. Mocne światło jest potrzebne, ale niezbędne są też chmury. Czyste niebo „położyło” niejedną moją piękną pierwszą plany i morskie przestrzenie. Od kilku lat nie jeżdżę nad morze przy pięknej pogodzie, czekam na deszcz, a najlepiej letnie burze, wtedy mam pewność, że niebo będzie ciekawe. Plaże to otwarte przestrzenie, gdzie nie padają długie cienie, jak ma to miejsce w górach, i uważam, że wiele moich dobrych zdjęć powstało praktycznie bez światła, w deszczową pogodę. Taki wybór ma jeszcze jedną zaletę – kiedy wieje, pada i zanoszą się na burzę, plaże pustoszeją – nie przeszkadzają ślady butów czy rozłożone ręczniki i plażowicze.

Pierwszy plan, woda i niebo. Mając wszystkie te elementy, jesteśmy krok od sukcesu. To, co odróżnia morskie plenery od górskich, to pewne ograniczenie miejscem. W górach można fotografować we wszystkich kierunkach, a nad morzem za zwyczaj mamy do dyspozycji jeden, góra dwa kadry. Szukam ich zawsze blisko siebie. Kamieniami zaznaczam ustawienie statywu i idę w kolejne miejsce. Nie mogą być zbyt oddalone od siebie, bo szkoda tracić czas na długie wędrowki, kiedy najlepsze światło operuje przez najwyżej dwadzieścia minut. Trzeba być ostrożnym. Wiele razy przeszedłem, zostawiając ślady w samym środku kadru – piasek łatwo poddaje się zmianom, ale niechętnie wraca do stanu poprzedniego, naturalnego. Szukając miejsca na plener, idę albo blisko wody, gdzie fale zacierają moje ślady, albo z daleka od brzegu, gdzie na pewno nie będą chciały fotografować.



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

Szukam również wszystkich elementów, które mogą urozmaicić kompozycję. W Gdyni mogą być to ruiny starej torpedowni, w Świnoujściu Stawa Młyny, a we Włoszech mały port rybacki. W Chorwacji często znajdowałem schody prowadzące do wody, a na Korsyce wykorzystywałem białe ściany skalnego klifu. W norweskim Bergen czekałem na wpływające do portu ogromne wycieczkowce. Wszystkie elementy naturalne i wykonane ręką ludzką, które łączą się bezpośrednio z morzem, są w kręgu moich zainteresowań. Idealnym momentem jest, kiedy morskie fale obmywają ogromne głazy, woda równomiernie faluje, w tle widać latarnie morską, a całość domykają burzowe chmury podświetlone przez zachodzące słońce...

Do zdjęć morza zawsze używam statywu i w 90 procentach obiektywów szerokokątnych z filtrami połówkowymi i filtrem polaryzacyjnym do poprawienia kontrastu i eliminacji niepotrzebnych odbić na wodzie. Statyw zazwyczaj rozstawiam jak najbliżej ziemi, co zdecydowanie poprawia perspektywę i pozwala na pewne przerysowanie, skrócenie odległości między pierwszym planem a końcem morza. Niebo przez ten zabieg niewiele traci, a my zyskujemy dynamiczny, wieloplanowy obraz. Filtr połówkowy z „twardym” przejściem sprawdza się idealnie. Przyciemnia niebo, a wodę pozostawia jaśniejszą. Można zbliżyć się do równowagi między niebem a ziemią, uzyskując dobrą ekspozycję dla jasnego i ciemnego elementu w kadrze. „Twarde” przejście to nic innego jak równa linia rozdzielająca dwie części filtra – jedna jest ciemna, druga jasna, dzięki czemu równoważymy ekspozycję.

Trzeba uważać, żeby nie stworzyć zbyt sztucznego obrazu. Moim zdaniem bezpieczną granicą jest filtr połówkowy „0.9 hard”. Sporadycznie używam teleobiektywu, zazwyczaj wtedy, kiedy znajduję rytmizujące elementy – dobrym przykładem są falochrony w Unieściu koło Miłna, które oglądane z wysokości moła tworzą piękne linie wdzierające się w morską toń. Zdarzyło mi się też fotografować z większej odległości spacerowiczów, którzy ożywiali mało ciekawy pejzaż. Z daleka fotografowałem również pływają

ce blisko brzegu statki wycieczkowe na tle zachodzącego słońca. Ważne jest ustawienie kadru równo – używam do tego poziomicę zakładanej na gniazdo lampy błyskowej. Uzyskując idealnie równy kadr, unikniemy efektu „wylewania się” wody na którąś ze stron.

Ustawiając statyw nisko, trzeba uważać na fale, które mogą zalać aparat. Unikam też zostawiania plecaka blisko wody i chowam go w dużym foliowym worku, żeby nie stał się „piaskownicą”. Noszę ze sobą duże pędzelki kosmetyczne, którymi po plenerze oczyszczam z piasku aparat, obiektywy i statyw. Nieodłącznym elementem jest również ciekawa książka, bo kiedy znajdę już odpowiednie miejsce, potrafię czekać kilka godzin do zachodu słońca.

Fotografowanie morza wymaga dużej wytrwałości i determinacji. Trudno znaleźć ciekawy kadr, trafić na piękne niebo, a na koniec okraścić całość złotymi promieniami słońca. Nie jest to jednak niemożliwe i z pewnością cieszy bardziej niż górskie pejzaże, które często są do siebie bardzo podobne. Wybrzeże zmienia się każdego dnia, trudno trafić na takie same chmury, a światło też każdego dnia jest inne. W morskim pejzażu to fotograf sam maluje obraz światłem. Wymaga to umiejętności połączenia ziemi, wody i nieba w taki sposób, żeby zachować między tymi elementami równowagę. To fotograf bardzo świadomie dokonując wyborów, metodą prób i błędów dochodzi do perfekcji. Czym jest ta perfekcja? To taki moment, kiedy patrząc na zdjęcie, słyszysz szum morskich fal, pod stopami czujesz miękkość piasku, a zewsząd otacza mnie morską bryza. Widziałem w życiu kilka takich zdjęć i sam od lat próbuję zrobić choć jedno. ◯

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi.

Publikuje zdjęcia w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wracając w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych miejsc. Twierdzi, że jego najlepsze zdjęcia to te, których jeszcze nie zrobił.



„Najlepsza gęsina jest w Swołowie na Świętego Marcina”. Takim sloganem przywitała mnie jedna z tutejszych gospodyń. Wieś jest niezwykła i leży piętnaście kilometrów od Słupska. Niemal wszystkie znajdujące się w niej domy są konstrukcji szkieletowej, inaczej szachulcowej, ze ścianami w biało-czarną kratę. Na dodatek większość z nich pamięta odległe czasy. Nic dziwnego, że Swołowo okrzyknięto stolicą „Krainy w kratę”, czyli tej części Pomorza, w której występuje szczególne nagromadzenie podobnych budowli.

Maria Giedz

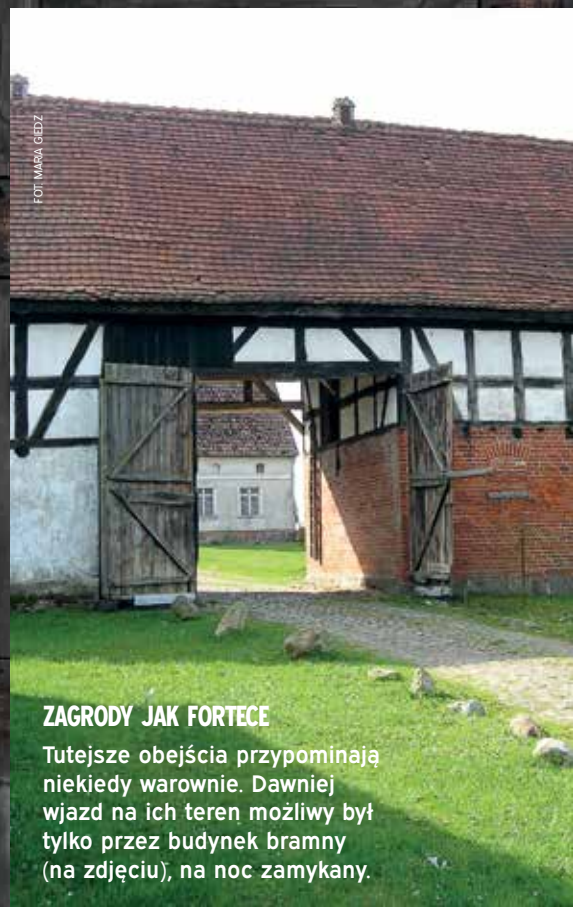
KRAINA

W KRATĘ

Do wsi dotarłam chyba od złej strony, bo droga składała się z dziur i wybojów. Mało to było zachęcające, zważywszy, że tablice informacyjne promowały Swołowo jako „europejską wieś dziedzictwa kulturowego”. Niemniej warto było się pomeczyć, gdyż znalazłam się w krainie wyjątkowo ciekawej.

nie na terenie Czech, Śląska i południowo-wschodnich Niemiec. No i na Pomorzu, w okolicach Słupska.

Gęsi wybrały się właśnie na spacer i dreptały w stronę stawu. Kościół stał biały, kamienny, kryty czerwoną dachówką, z wydzieloną absydą o bryle dość ciężkiej, nawiązującej do czasów romańskich. Ale dzięki konstrukcyjnym szkarpom oraz ostrym



ZAGRODY JAK FORTECE

Tutejsze obejścia przypominają niekiedy warownie. Dawniej wjazd na ich teren możliwy był tylko przez budynek bramny (na zdjęciu), na noc zamykany.

ZASŁUŻYLI NA MUZEUM

Fragment pokazowej Zagrody Albrechta z przełomu XIX i XX w., w której mieści się dziś filia Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku. Albrechtowie gospodarowali w Swołowie prawie trzysta lat, od 1659 do 1945 roku.

CHŁOP NA ZAGRODZIE

Był kwietniowy, słoneczny ranek. Cisza, żadnych turystów, żadnych festynów, dzieciaki w szkole, gospodarze jeszcze nie wyjechali w pole. Brukowana droga wiodąca wzdłuż stawu opasywała go razem z kościołem i dawną szkołą, wyodrębniając jak wyspę. Niewiele mamy w Polsce wsi o układzie owalnicowym i tak czytelnie zachowanym. Osady o zarysie wrzeciona albo owalu, w którym znajduje się staw, kościół i cmentarz, spotyka się głów-

łukom, wieńczącym portal i okna, widać, że gotycki, pewnie z końca XIV w., a może z początków XV w. Postawiony nad strumykiem, zwanym Zieloną Strugą, który w centrum wsi zamienia się dzięki niewielkiemu spiętrzeniu w staw niegdyś pełniący funkcje gospodarze. Dawniej wokół kościoła znajdował się wiejski cmentarz, dzisiaj jest tam ładnie przyszyżona trawa. Kościół, przed wojną ewangelicki, a obecnie katolicki, jest filią parafii w Bruszkowie Wielkim.

Turystów docierających do Swołowa najbardziej fascynuje jego zabudowa rozmieszczona po zewnętrznej stronie owej owalnicy. Są tam kompletne zespoły zagród na planie czworobocznym, za którymi ciągną się najpierw ogrody warzywno-owocowe, następnie pastwiska, pola, a także drogi. Przypomina to szlacheckie folwarki lub małe fortece zbudowane na planie kwadratu albo prostokąta.



kąta. Do takiej zagrody wjeżdża się z centralnej we wsi drogi (owalnicy) przez budynek bramny na noc zamykany. Wewnątrz znajduje się podwórze brukowane kamieniem. Wokół niego, najczęściej w głębi, stoi budynek mieszkalny, który wygląda niekiedy jak szlachecki dwór. Z boku znajduje się stodoła, po przeciwnej stronie budynek inwentarski, czasem są też i inne zabudowania. Takich potężnych zagród zachowało się tutaj ponad dwadzieścia.



FOT. MARIA GEDZ

DOMY I DOMISZCZA

U góry należący kiedyś do rodziny Duske potężny XIX-wieczny dom ze strychem przeznaczonym na funkcje magazynowe. Poniżej mniejszy, typowy dom szachulcowy z XX w.



FOT. MARIA GEDZ

EUROWIEŚ

Nad Zieloną Strugą stoi kościół z przełomu XIV i XV wieku. Była tu też szkoła (z prawej), która działała w tym budynku do 1931 r. Odkupił go potem kołodziej. Przed wojną mieli tu

JAK ZA ŚWIĘTOPEŁKĄ

Wieś, a może wówczas tylko osada, była zamieszkała już w czasach rzymskich, o czym świadczą znaleziska datowane na pierwsze wieki naszej ery. Układ przestrzenny Swołowa został ukształtowany za czasów gdańskiego księcia Świętopełka II (XII-XIII w.) oraz niemal dwustuletniego zarządzania Zelowem albo Zwolovem przez zakon Joannitów (wzniesli też zamek w Skarszewach na Ko-

mieszkiwało ją 15 rodzin chłopów pańszczyźnianych. We wsi mieszkał też sołtys, człowiek wolny, którego pańszczyzna nie obowiązywała. Po jej zniesieniu i nadaniu chłopom praw własności, czyli od początku XIX w., wieś zaczęła się rozwijać. Wtedy właśnie nastąpiła budowa nowych i rozbudowa istniejących budynków, tworząc obecne zagrody gospodarzy. Ale nie zakłóciło to owego średniowiecznego układu przestrzennego wsi.



FOT. MARIA GEDZ



FOT. MARIA GEDZ

też stolarza, kowala, dwóch szewców, a nawet leśniczego. Nic dziwnego, że Swołowo prezentuje się dziś oficjalnie jako europejska wieś dziedzictwa kulturowego.

ciemiu, a w czasach późniejszych zbudowali port, szpital i wspaniałą warownię na Malcie), i właściwie nie został od tamtych czasów zmieniony.

Później miejscowość przynależała do znanych rodów szlachty pomorskiej: von Below, Peter Glasenapp, von Schwave, a od około 1600 roku do Zarządu Dóbr Królewskich w Słupsku. Przez kolejne dwa stulecia, niezależnie od tego, czyją była własnością, za-

Na podstawie dokumentów wiadomo, że przed II wojną światową w Swołowie, którego powierzchnia wynosiła wówczas 901 ha, mieszkało 315 osób, zaś gospodarstw rolnych było 39. Piętnaście z nich zaliczano do gospodarstw dużych. Funkcjonowało też gospodarstwo gminy kościelnej. Swołowo należało do wsi bogatych. Miało własną szkołę, kowala, stolarza, stelmacha (kołodzieja) zajmującego się wyrobem drewnianych części potrzebnych



Kultury Ludowej. Placówka ta organizuje w budynkach muzealnych oraz na terenie wsi wiele imprez odtwarzających dawne zwyczaje mieszkańców.

WCAŁE NIE PRUSKI

Budynki o konstrukcji szkieletowej wznoszono na Pomorzu już w wieku XVIII. Potocznie i błędnie mówi się o nich, że są z „pruskiego

MOCNO OSIEDLENI

Ponadstuletnie, ale w dobrym stanie, siedliska z budynkami mieszkalnymi i gospodarczymi. To na zdjęciu dolnym – z wielkim domem, stodołą oraz zabudowaniami inwentarskimi, wskazującymi na zamożność właścicieli.



do składania wozów, dwóch szewców, leśniczego. Do wsi doprowadzono elektryczność, a grunty zostały zmeliorowane.

Obecnie mieszka tu ponad 200 osób, ale tylko część z nich uprawia ziemię. Pozostali mają się najróżniejszych zawodów, między innymi związanych z rekonstrukcją chłopskich zagrod i życiem w nich, bowiem w Swołowie, jako filia Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, funkcjonuje Muzeum

murowy”. W wielu regionach Europy, od francuskiej Bretanii po litewską Kłajpedę, a nawet i dalej, spotyka się jednak podobne budownictwo. „Domy w kratę” nie mają więc wcale pruskiego rodowodu. Nie jest to architektura zbyt trwała. Składa się z drewnianej konstrukcji, czyli szkieletu, którego bielone z zewnątrz przestrzenie wypełniano gliną z sieczką albo trocinami, czasem gliną z kawałkami cegły lub z polnymi kamykami.

DRZWI DO ALBRECHTA

Po lewej: zabytkowe, dziewiętnastowieczne drzwi do domu Joachima Albrechta, ostatniego z najstarszych tu rodów.

PÓŁGĘSEK NA LUDOWO

O kaszubskim Świącie Gęsi w Swołowie informuje baner (na stronie obok) zapraszający na degustację miejscowych przysmaków – kiełbas, szynki i półgęsków (zdjęcie na dole) oraz na pokaz darcia pierza.

Domy szachulcowe wymagają ciągłych reparaacji, a lata po II wojnie światowej temu nie sprzyjały. Migracje, przesiedlenia, poczucie tymczasowości życia na Ziemiach Odzyskanych, a do takich w PRL zaliczano obszar Pomorza, nie przyczyniały się do dbałości o ową zabudowę. Dziwnym trafem z miejscowości położonych pomiędzy Łebą a Darłowem, w pasie o szerokości 40-50 km w głąb lądu, najlepiej zachowało się Swołowo. Do dzisiaj stoi tu 70 budynków w kratę. Nie wszystkie

chlebowy, stolarnia i kuźnia. Większość z nich należy do osób prywatnych, więc można je przeważnie oglądać z daleka. Do najciekawszych zespołów owej wiejskiej zabudowy należy zagroda nr 8 przejęta przez muzeum, niegdyś własność Michaela Albrechta i pozostająca w rękach tejże rodziny do końca II wojny światowej. Albrechtowie mieszkali tutaj co najmniej od 1659 roku. Interującym obiektem jest też chałupa dymna, czyli tzw. kurna chata, na terenie prywatnej zagrody



W Muzeum Kultury Ludowej obejrzeć można m.in. piec chlebowy i wystawę kołowrotków.

są w dobrym stanie technicznym, ale mieszkańcy, mimo że wielu z nich jest potomkami przybyszów ze wschodu i południa kraju, postanowili przywrócić je do świetności. Ten zapał i pomoc zewnętrznego finansowania spowodowały, że Swołowo stało się swoistym skansenem, a nieliczne domy, które nie mają nic wspólnego z budownictwem szachulcowym, są również spontanicznie malowane w biało-czarną kratkę.

Oprócz szachulcowych budynków mieszkalnych zachowały się też takie stodoły, obory, chlewy, jest nawet budynek bramny, dom

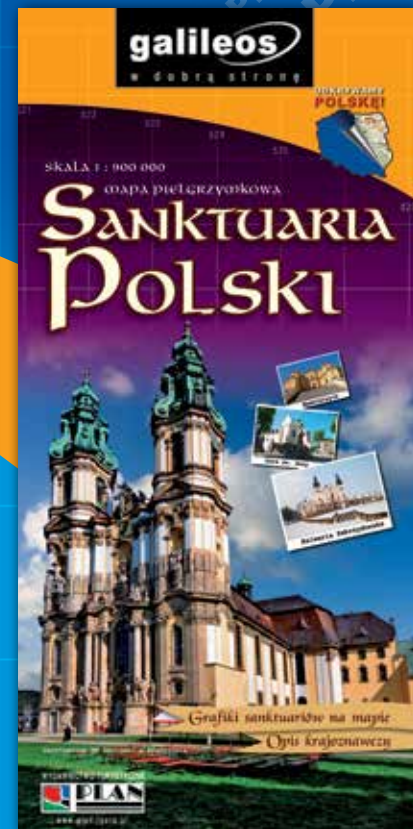
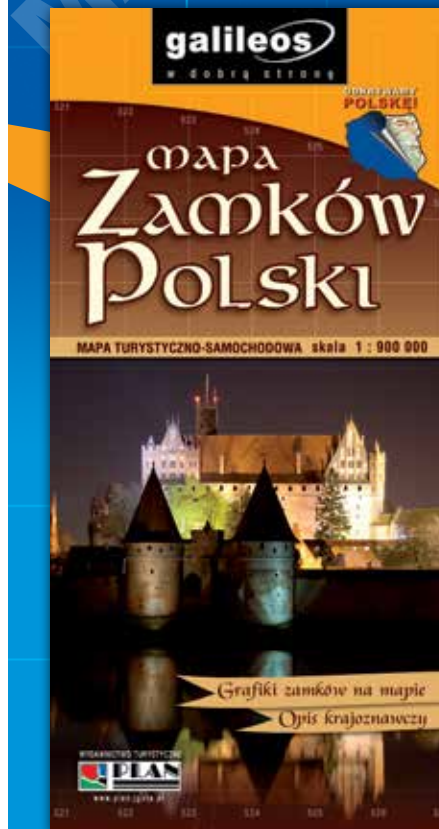




nr 39. Zbudowana została w XVIII w. z dębowego drewna i glinianej polepy, z kamiennym paleniskiem wewnątrz, wówczas bez komina.

GĘSINA NA ŚW. MARCINA

Na Pomorzu jesienią, a dokładnie w listopadzie, następuje bicie gęsi, a wraz z nim święto przypadające na Dzień św. Marcina. Stare porzekadło mówi, że „od Świętego Marcina zima się zaczyna”. Właśnie wtedy w Swołowie roztawia się stoiska uginające się od wędlin, półgęsków, pasztetów, okras, smalców



WYDAWNICTWO TURYSTYCZNE
58-500 Jelenia Góra, ul. Słowackiego 14, tel. 75 75 260 77
e-mail: plan@plan.jgora.pl • www.plan.jgora.pl



R E K L A M A

oraz innych gęsi przysmaków i sprasza się licznych gości.

Od kilku lat w okolicach 11 listopada swołowskie muzeum, przy współudziale mieszkańców, organizuje tutaj wielki festyn, nawiązujący do tradycji regionu. W stodole zagrodnika, zaadaptowanej na potrzeby muzealne, odbywa się darcie pierza przy akompaniamencie śpiewów. Jest pokaz przędzenia na kołowrotku, a także tkactwa. Można nawet utkać coś samemu, czego najchętniej podejmują się dzieci. Istnieje możliwość zwiedzenia swołowskich wnętrz – domu z drewnianymi skrzyniami, domu chlebowego czy kuźni.

Wkoło, przyciągając gości na biesiadę, rozchodzą się zapachy zupy brukwiowej na gęsi, pieczonych nóżek, smakowitych pierogów. Bo przecież najlepsza gęsina jest w Swołowie na św. Marcina! ○

Maria Giedz

Dziennikarka, podróżniczka, wykładowca akademicki (Katedra Stosunków Międzynarodowych w Wyższej Szkole Bankowej w Gdańsku). Absolwentka historii sztuki (autorka 20 opracowań historyczno-urbanistycznych), doktor nauk humanistycznych. Przewędrowała kilka kontynentów, napisała wiele reportaży, w tym korespondencje z rejonów objętych działaniami wojennymi (Irak 1991, Bałkany 1993-98, Syria 2013). Wybitna znawczyni problematyki kurdyjskiej – książki: „Węzeł kurdyjski” (2002) i „Kurdystan, bez miejsca na mapie” (2010).



NAVIGATOR



Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Śladem Argonautów

Konstanca, dawne Tomis, to najstarsze miasto w Rumunii. Według legend to tu wylądował Jazon z Argonautami po znalezieniu Złotego Runa. Pierwsze dokumenty dotyczące miasta pochodzą z 657 roku p.n.e. Dziś jest największym portem na Morzu Czarnym i czwartym największym w Europie, jest też w czołówce miast o najwyższym standardzie życia.

Latем turyści zjeżdżają głównie do niedużej miejscowości Mamaia, leżącej kilka kilometrów od Konstancy. Z jednej strony Mamai rozciąga się 7-kilometrowa piaszczysta plaża, leżąca nad brzegiem Morza Czarnego, z drugiej zaś jezioro Siutghiol. Poza urokami natury turyści mają do dyspozycji kino na świeżym powietrzu, lunapark i kolejkę gondolową. Sezon trwa od połowy maja do końca września, kiedy temperatury utrzymują się w granicach 25-30°C.



44°10'N 28°38'E

Konstanca leży 220 km na wschód od Bukaresztu.



FOT: SHUTTERSTOCK

Sama Konstanca jest też ważnym ośrodkiem kulturowym. Największe zabytki i atrakcje miasta to Plac Owidiusza, na którym można podziwiać XIX-wieczny pomnik rzymskiego poety Publiusza Owidiusa Naso; Farul Genovez, czyli blisko 8-metrowa latarnia morska z 1860 r.; meczet z początków XX wieku, w którego wnętrzu zobaczyć można jeden z największych w Europie dywanów, ważący ponad tysiąc kilogramów. Warto zwiedzić prawosławną katedrę Piotra i Pawła, zbudowaną w stylu grecko-rzymskim. Nad samym brzegiem morza leży słynne secesyjne kasyno, a obok niego ciągnie się promenada, po której uwielbiają spacerować zakochani.



FOT: SHUTTERSTOCK

Grecja Kefalinia

Grecki sekret

Kefalinia to największa spośród archipelagu Wysp Jońskich. Mimo niewielkiej odległości od Grecji i Włoch jest mało znana. Ponieważ stara się opierać masowej turystyce, nazywana jest „najpilniej strzeżoną grecką tajemnicą”. Wyspa oferuje przede wszystkim piękne plaże, malownicze zatoczki z błękitnym morzem, tradycyjne wioski, smaczne jedzenie oraz niepowtarzalne krajobrazy. Żyje tu wiele gatunków zwierząt, w tym sporo endemicznych. Zobaczyć można żółwia kareta, którego gatunek jest zagrożony. Na niedostępnych częściach wybrzeża żyje również niewielka populacja zagrożonej mniszki śródziemnomorskiej, ssaka z rodziny fokowatych. Najwyższym szczytem wyspy (a także wszystkich Wysp Jońskich) jest góra Ainos (1628 m n.p.m.) leżąca na terenie parku narodowego, na którą warto się wybrać ze względu na piękny widok ze szczytu.



38°14'N 20°34'E

Na Kefalinie można dostać się samolotem z przesiadką w Atenach lub promem z Kyllini.



FOT: SHUTTERSTOCK

Na wyspie rośnie ponad milion drzew oliwkowych. Warto też spróbować wyśmienitego wina ze szczepu robola, który rośnie głównie na Kefalinii. Dwoma największymi atrakcjami turystycznymi są podziemne jezioro Melissani i plaża Myrtos. Kefalinia ma bogatą historię – ponieważ rządili nią antyczni Grecy, Rzymianie, Normanowie, Turcy i Weneccjanie, można znaleźć tu pozostałości wielu różnych kultur, choć podczas trzęsienia ziemi w 1953 roku większość zabytków uległa zniszczeniu.



Piękne miasta skalne, idealne na ciekawy pobyt z dziećmi, i region związany z bajkowym rozbójnikiem Rumcajsem. W niewielu miejscach Europy spotkamy tak wiele ciekawostek przyrodniczych i architektonicznych, jak w Czeskim Raju. Przed milionami lat w tym miejscu znajdowało się morze. Po jego ustąpieniu, na skutek działalności wulkanicznej oraz wiatru i wody powstały niezwykle formy skalne, ściany i wieże piaskowcowe, idealne dla amatorów wspinaczek. Na miłośników zabytków czekają malownicze miasteczka, liczne zamki i pałace, a także perełki architektury ludowej.

Skąd się wzięła nazwa Czeski Raj? Tak podobno zaczęli nazywać ten zachwycający region kuracjusze wypoczywający w XIX wieku w tutejszym uzdrowisku Sedmihorky – najstarszym w Czechach uzdrowisku wodoleczniczym. W 2005 roku Czeski Raj został ogłoszony Geoparkiem UNESCO. Do przyrodniczych unikatów należą tutejsze Bozkowskie Jaskinie Dolomitowe, najrozleglejsze jaskinie dolomitowe w Czechach. Prawdziwe skarby natury kryje majestatyczna góra Kozakov – piękne agaty, jaspisy, chalcedony i ametysty.

Inspiracje na www.czechtraditions.com



50°31'N 15°14'E



Szlakiem czeskiego granatu

Czeski Raj to ojczyzna czeskiego granatu. Żaden inny kamień szlachetny nie jest tak mocno związany z ziemiami czeskimi, jak granat. Sława czeskiego granatu sięga daleko poza granice kraju. Biżuterią z czeskimi granatami szczyliły się słynne postacie historyczne, na przykład cesarzowa Katarzyna Wielka czy aktorka Sarah Bernhardt. Klejnoty pochodzące od tutejszych mistrzów zdobią znane osobistości, między innymi królową brytyjską Elżbietę II, a dawniej także papieża Jana Pawła II.

W samym sercu Czeskiego Raju leży Turnov. Miasto znane jest jako tradycyjne centrum polerowania kamieni szlachetnych, wytwórstwa szkła i rękodzieła artystycznego. Ciekawą interaktywną ekspozycję prezentuje tutejsze Muzeum Czeskiego Raju. Poznamy tu proces obróbki kamieni szlachetnych demonstrowany przez zręcznych i cierpliwych mistrzów jubilerskich. Pokazy tego pięknego historycznego rzemiosła oferuje także Dom Kamieniarski, a granatowi i biżuterii z granatem poświęcona jest ekspozycja Galerii Granat w Turnovie. Poznamy tu tajemnice wydobycia granatu i jego szlifowania za po-

mocą zabytkowych, jak i nowoczesnych urządzeń. Na zwiedzających czekają również warsztaty i możliwość zakupu biżuterii w tutejszym sklepiku.



50°37'N 15°10'E

Turnov leży w północnych Czechach, na południe od Liberca, 80 km od Jeleniej Góry.



FOT. SHUTTERSTOCK

KRÓLESTWO ŚMIERCI

„Zatrzymaj się, oto królestwo śmierci” – taki napis wita zwiedzających nad „Zwejściem do paryskich katakumb. Nie jest to typowa atrakcja turystyczna dla każdego – to miejsce skłaniające do refleksji nad życiem i śmiercią.

 48°52'N 02°21'E

Wejście znajduje się w małym zielonym budynku przy stacji metra Denfert-Rochereau.

R E K L A M A

LORNETKA DELTA OPTICAL FOREST II 8X42 POKAZAŁA CO POTRAFI!

Lornetka Forest II 8x42 to lornetka, która zdobywa nagrody:

- II miejsce w Plebiscycie serwisu optyczne.pl - Produkt Roku 2011 w kategorii Lornetka,
- Nagroda „Sowa z Rogowa” w konkursie na najlepszy wyrób prezentowany na Międzynarodowych Targach Leśnych w Rogowie w 2011 r.
- Nominacja w konkursie Dobry Wzór 2013.

Najbardziej cieszy nas wyróżnienie „Dobry Zakup” przyznany przez redakcję serwisu optyczne.pl. Teraz możecie wierzyć słowom reklamy, że lornetka Delta Optical Forest II 8x42 jest jedną z najbardziej wytrzymałych lornetek w swojej klasie.

Serwis optyczne.pl przez rok testował różne marki lornetek 8x42 w różnych warunkach: w niskich temperaturach, potem dla odmiany w wysokich, w wodzie, a także poddając je próbom upadków z wysokości. I nic nie złamało naszej małej, taniej lornetki Forest II 8x42, która w pełni zasłużyła sobie na wyróżnienie „DobryZakup”.

Lornetki z serii Forest II: **8x42** 499 zł, **10x42** 529 zł, **8.5x50** 539 zł, **10x50** 529 zł, **12x50** 549 zł



dobry zakup
Optyczne.pl



www.deltaoptical.pl/lornetki ★ [blog: www.deltasky.pl](http://blog:www.deltasky.pl) ★ www.facebook.com/Delta.Optical.Polska

Mińsk Mazowiecki
Nowe Osiny, ul. Piękna 1
T. 801.011.337,
T. 25 747.80.04

Warszawa
Al. Jana Pawła II 19
Deloitte House
T. 22 624.08.04

Katowice
ul. Uniwersytecka 13
Budynek Altus
T. 32 729.94.90

Gdańsk
ul. Grunwaldzka 40/9
(od ul. Do Studzienki)
T. 58 739.52.10

DELTA[®]
optical

bliżej pasji

miłość

在 金 江 的 爱

Rozmowa z chińską narzeczoną

Xiao Lin ma 23 lata. Uczy się w prywatnej szkole języka angielskiego w „niewielkim” mieście Jinjiang (2 mln mieszkańców) w chińskiej prowincji Fujian i szykuje się do zamęścia.

Adam: Po maturze dostałaś się do najlepszego w kraju Wydziału Turystyki na jednym z szanghajskich uniwersytetów. Chciałaś zobaczyć świat, podróżować. Marzyłaś o zawodzie przewodnika wycieczek. Dlaczego więc przerwałaś studia?

Xiao Lin: Cóż, to nie jest dobry zawód, jeśli chce się założyć rodzinę. Przewodnik jest w ciągłych rozjazdach. Ma niestabilne życie. A ja właśnie przygotowuję się do założenia rodziny. Za cztery miesiące się zaręczam.

Jak poznałaś swego chłopaka?

Kiedy moja starsza siostra urodziła dziecko, pojechałam do niej razem z rodzicami – siostra mieszka z rodziną męża w innej części miasta. On też tam był – jest kuzynem szwagra. Wtedy właśnie się poznałyśmy.

Teraz mamy marzec, poznaliście się we wrześniu, czyli trochę ponad pół roku temu. Od kiedy jesteście parą?

Chodzimy ze sobą od stycznia – 2 miesiące.

To niezbyt długo. I już planujecie zaręczyny? Moja rodzina od dawna zna jego rodzinę.

Ale ty i on znacie się dość krótko?

To prawda. Jednak nasze rodziny uważają, że dobrze do siebie pasujemy. Mój narzeczony jest dla mnie dobry – co dzień przywozi mnie do szkoły, a po zajęciach odwozi do domu.

Oboje pochodzicie z Jinjiang?

Tak, oczywiście! Bardzo rzadko się zdarza, żeby ktoś wiązał się z osobą z innego miasta. Podobnie jest w innych miejscowościach: osoby z Sanming szukają partnera w Sanming, osoby z Dehua – żony czy męża z Dehua itd.

A dlaczego?

Wiesz, w małżeństwie różnie bywa. Zdarzają się problemy. Jeśli wysłabym za kogoś z innej miejscowości, mógłby mnie bić albo znaleźć kochankę, albo mógłby chcieć się ze mną rozwieść...

PODWOJONE SZCZĘŚCIE

Shuangxi – symbol widoczny na obrączkach – to podwojony znak *xi*, oznaczający szczęście. Zdobí on niemal wszystko, co jest związane ze ślubem: mieszkanie nowożeńców, auto, którym przewozi się pannę młodą do jej nowego domu, czy koperty wręczone przez gości weselnych.



???

Jaki to ma związek z miejscem pochodzenia męża? Mężczyźni w Jinjiang nie rozwodzą się, nie biją żon i nie oglądają się za innymi kobietami?

Hahaha! Nie, oczywiście, że i tutaj się to zdarza. Ale jeśli oboje jesteśmy stąd, to w przypadku problemów łatwiej je rozwiązać.

???

Nasze rodziny mogą się łatwo spotkać, przedyskutować i wspólnie rozwiązać problem. Jeśli wyszłabym za kogoś spoza Jinjiang – ewentualnie też spoza Shishi i Quanzhou, bo w tych trzech miastach język i obyczaje są niemal identyczne – nasze rodziny mogłyby mieć kłopot z dogadaniem się: inny dialekt, inne tradycje.

Inny dialekt? Twój rodzice nie mówią po mandaryńsku? Ile mają lat?

Mama ponad czterdzieści, tato pięćdziesiąt. Mówią po mandaryńsku, ale z silnym akcentem, no i pozostaje kwestia różnych zwyczajów w poszczególnych miejscowościach.

Gdzie planujecie zamieszkać w przyszłości?

Oczywiście przeprowadzę się do rodziny męża. Od razu po zaręczynach. Tak się u nas robi.

Będziecie mieszkać z teściami?

Naturalnie! Z teściami i resztą rodziny męża.

I od razu po zaręczynach? Przed ślubem?

Zaręczyny są jak ślub.

Nie zdarza się, żeby ktoś zerwał zaręczyny? Rozmyślił się?

Oj, nie! Zerwanie zaręczyn?! To ogromna rzadkość. Osobiście nigdy się z tym nie spotkałam.

Jak wyglądają zaręczyny?

Najpierw rodzina chłopaka przesyła rodzinie dziewczyny samochód i inne przedmioty oraz pieniądze. Myśmy już dostali auto od rodziny mego narzeczonego. Potem rodzina dziewczyny organizuje przyjęcie na minimum 30-40 stołów.

Stołów?

Przy jednym stole mieści się 10 osób, więc należy zaprosić co najmniej 300-400 osób. Rodzinę, sąsiadów, znajomych. W ten sposób informuje się wszystkich o fakcie zaręczyn. Koszty przyjęcia ponosi rodzina dziewczyny. Kupuje też dla niej złotą biżuterię (to lokalny jinjiangski obyczaj – tutejsze narzeczone



CEREMONIA Z KOPERTĄ

Ważnym momentem towarzyszącym ślubowi jest ceremonia herbaciana, podczas której państwo młodzi usługują rodzicom, podając im ten napój. Następnie częstują pozostałych krewnych kandyzowanymi owocami i innymi przysmakami, a ci odwiedzają się, wręczając pannie młodej hongbao – czerwoną kopertę z pieniędzmi. Kwota zależy od stopnia zażyłości z młodymi: im ściślejsze relacje, tym koperta grubsza.



FOT. ADAM JUCHNIEWICZ

JAK FENIKS ZE SMOKIEM

Tutaj dziewczyny noszą dłuższe włosy, bo dodają urody, no i na ślub można wpiąć piękne złote zapinki. Suknia ślubna (*longfeng qipao*) jest pełna symboliki: kolor czerwony oznacza radość i szczęście; *long*, czyli smok, to cesarz – mężczyzna, u boku którego trwa *feng* – wyposażony w magiczne moce feniks, symbolizujący kobietę. Razem oznaczają harmonię małżeńską.

i panny młode są wprost obwieszane złotą biżuterią). Przesyła też rodzinie chłopaka pieniądze – zwykle jest to dwukrotność tego, co przesłała rodzina chłopaka (w Jinjiangu wiano panny młodej jest znacząco wyższe od „wiana” pana młodego; generalnie w Chinach proporcje są odwrotne). Moja rodzina przesłała 500 tys. yuanów (ok. 250 tys. zł).

Zaręczyny to przesyłanie darów i pieniędzy oraz wielkie przyjęcie. Co się dzieje potem?

Potem dziewczyna wprowadza się do rodziny narzeczonego, a parę miesięcy później – czasem pół roku lub nawet rok później – jest ślub. Ślub jest organizowany przez – i na koszt – rodziny chłopaka. Tradycyjnie jest to przyjęcie na ok. 50 stołów, czyli 500 osób.

Mówisz o przyjęciach. A co ze stroną formalną?

Formalności... to formalność! Po zaręczynach – a przed ślubem – para rejestruje się w urzędzie, tj. wyrabia certyfikat małżeństwa. Zajmuje to tylko chwilę.



FOT. ADAM JUCHNIEWICZ

Nie ma urzędowej ceremonii ślubnej?

Ceremonia urzędowa?? Nie, nie ma nic takiego. Podpisujemy papiery, dostajemy certyfikat i już.

Nie zapraszacie do urzędu rodziny, przyjaciół?

A po co? To tylko podpisanie dokumentów.

Jak wygląda przyjęcie zaręczynowe? Ślubne?

Jemy, jemy, jemy! Hahaha...

Masz 23 lata, jesteś taka młoda. Nie warto było najpierw zdobyć wymarzonego zawodu przewodnika, a dopiero potem myśleć o ślubie?

Hahaha... Wiesz, kiedy dziewczyna ma 23-24 lata, ludzie mówią, że jest „taka młoda”. Ale kiedy ma 25 lat – mówią, że... jest już stara! Tu, w Jinjiang, 25-letnia dziewczyna to już stara panna, 24 lata to niemal ostatni dzwonek, żeby wyjść za mąż. Myślę też, że bardzo dobrze trafiłam. Już ci mówiłam, że mój narzeczonej jest dla mnie dobry. Nie jest co



IDŹ ZŁOTO DO ZŁOTA

Charakterystyczna dla Jinjiang i sąsiadującego z nim Shishi bogata, złota biżuteria noszona przez pannę młodą. Jest to zarazem jej finansowe zabezpieczenie i osobista, niemająłowska własność. Zdarza się, że panny pożyczają biżuterię na czas zaślubin tylko po to, aby wypaść dostatniej i by tradycji stało się zadość.

FOT. ADAM JUCHNIEWICZ

ZOSTAŁO Z UCZTY BOGÓW

Domowy ołtarzyk ofiarny z darami, kadzidełkami oraz świecami. W prowincji Fujian takie ołtarzyki znajdują się niemal w każdym domu i w większości prywatnych firm. Bogowie raczą się niematerialną częścią złożonych ofiar, a to, co pozostaje po ich uczcie, konsumują ludzie.

prawda zbyt przystojny, ale to nie takie ważne. Najważniejsza jest osobowość – a on jest dobrym człowiekiem. Poza tym w ostatnim czasie zmieniły się regulacje prawne w sektorze turystyki i tylko w zeszłym roku liczba biur turystycznych zmniejszyła się o 10 procent! Kto wie, czy po studiach znalazłabym pracę w zawodzie? A tak – wyjdę za mąż, założę rodzinę i będę pracować w firmie teścia. Teść ma wobec mnie ogromne oczekiwania. Właśnie dlatego uczę się angielskiego – potrzebuję w firmie osoby z angielskim. Owszem, oczekiwania teścia stresują mnie.

Teść ma firmę turystyczną?

Nie, działalność firmy nie jest związana z turystyką. Ale to nic, bo naprawdę dobrze trafiłam, miałam dużo szczęścia, że znalazłam taką rodzinę, takiego kandydata na męża.

Rozumiem. Mam jeszcze jedno pytanie. Mówisz, że rzadko się zdarza, żeby ktoś miał żonę czy męża z innej miejscowości. Co byś jednak zrobiła, gdybyś – studiując na przykład w Szanghaju – zakochała się w chłopaku spoza Jinjiang?

Nie brałabym nawet pod uwagę możliwości związania się z nim. I tak nie moglibyśmy się pobrać. Rodzice by się na to nigdy nie zgodzili. Po prostu nie angażowałabym się w tę znajomość i nie zgodziłabym się zostać jego dziewczyną.

Bardzo ci dziękuję za tę rozmowę!

Miło się rozmawiało, dziękuję!

Rozmawiał: Adam Juchniewicz



Adam Juchniewicz

Absolwent Instytutu Religioznawstwa UJ, gdzie specjalizował się w kulturze, religiach i filozofii Chin. Współtworzył „Powszechną Encyklopedię Filozofii”. Był stypendystą rządów RP i ChRL na Nankińskim Uniwersytecie Pedagogicznym, gdzie studiował jęz. chiński. Naukę kontynuował na Uniwersytecie Xiameńskim. Mieszka w Chinach, jest tłumaczem i nauczycielem.



FOT. SHUTTERSTOCK

Anna Książek

NA FALI SZCZĘŚCIA

„Witaj w najszczęśliwszym kraju” – komunikują reklamy na lotnisku w stolicy, San Jose. Kostarykę odwiedziłam dwukrotnie w jednym roku, bo tęsknię za życiem w stylu *pura vida*.

Jej mieszkańcy w każdej sytuacji zachowują uśmiech i życzliwość, a *pura vida*, co da się przetłumaczyć na „pełnia życia”, zastępuje tu: dzień dobry, do widzenia, dziękuję.

Jak się miewasz? *Pura vida*. Co słychać? *Pura vida*...

Skuszona trudno dostępną, dziką przyrodą udaję się na południe kraju, na półwysep Osa, do parku narodowego Corcovado. To podobno najbardziej zróżnicowane biologicznie miejsce na ziemi. Wsiadam w miejscowości Golfito, skąd łódka zabiera mnie na półwysep, do Puerto Jimenez. Na przystani kolorowe papugi *scarlet macaws*, elektryzujące czerwonym upierzeniem, niebiesko-żółtymi skrzydłami i ogonem, który może osiągać długość do 40 cm. Puerto Jimenez sprawia wrażenie niewielkiej rybackiej osady. Docieram do pensjonatu o intrygującej nazwie Cacao Monkeys. Mój domek położony jest w lesie deszczowym. Wystarczy spocząć w hamaku, a po chwili pojawiają się małpki kapucynki w otoczeniu niebieskich motyli *morpho*.

SZCZĘŚCIE TO NATURA

O poranku czas na rower i przejażdżkę na bezludną plażę. Dzisiaj fale wydają się za wysokie na pływanie, wybieram więc skakanie po nich. W drodze powrotnej towarzyszy mi

miejscowy chłopak na rowerze, wracający do miasteczka z pracy w hotelu. Juan ma 25 lat i nie marzy o życiu w wielkim mieście. Jest szczęśliwy z życia tu i teraz. Pyta, czy już widziałam krokodyla. Udajemy się na teren mangrowców, aby je poobserwować. Kolejny dzień spędzam na organizacji wyprawy do parku Corcovado. Poznaje Petera i Stephana, z którymi tam powędruję.





FOT. ANNA KSIĄŻEK



FOT. ANNA KSIĄŻEK

PAPUGA NAD PAPUGAMI

Ary żółtoskrzydłe z parku narodowego Corcovado mają kolory wszystkich papug świata i obecnie są wszędzie, m.in. w lesie deszczowym nad zatoką Golfisto. W wodzie tej zatoki można też obserwować delfiny.

Pobudka o 5 rano, podjeżdża jeep i zabiera nas do punktu startowego trekkingu. Dzisiaj mamy do przejścia 20 kilometrów, do stacji La Sirena. Idziemy plażą. Po prawej gęsty las deszczowy, gdzie ponownie spotykamy ary żółtoskrzydłe. Tropimy coati, zwierzę z rodziny szopów. Na drzewach do wyboru, do koloru – przegląd wszystkich gatunków małp występujących w Corcovado: kapucynki, wyjce, czepiakowate i titi (zwane po angielsku *squirrel monkeys*). Czuję się jak Alicja w krainie czarów. Widzę kolorowego kraba: pancerz fioletowy, oczka żółte, nóżki pomarańczowe, nasz przewodnik nazywa go krabem halloweenowym.

Kontynuujemy wędrowkę w upale. Po południu docieramy do La Sirena, przygotowujemy wspólnie lunch, rozkładamy matera-

ce i moskitiery. Jest nas około dwadzieścioro. Czas zrelaksować się na platformie z widokiem na ścianę lasu. Lornetki w gotowości – ktoś spostrzegł tukana, ktoś innego ciekawego ptaka. Noce w La Sirena, w środku lasu deszczowego, należą do tych, których nigdy się nie zapomina. O świcie zauważamy ślady pumy, niestety urywają się na plaży. Nie poddajemy się i udaje nam się wytropić tapira oraz pekari (dziką świnię).

Żyjemy tak przez trzy dni: pobudka o 5.30, trekking, jedzenie, hamakowanie, trekking, jedzenie, hamakowanie... Mnie to zachwyca: życie z naturą, naturalne jedzenie, uśmiechnięci ludzie. Pamiętam, jak przygotowywałam guacamole (meksykańską pastę na bazie awokado) i zorientowałam się, że brak mi limonki. Pytam, kto mi ją pożyczycy, a tu ktoś zauważa – spójrz na tamto drzewo, przecież to właśnie limonka...

SAM NA SAM Z WIELORYBEM

Kto ma szczęście, ten w okolicach Uvity w parku narodowym Marino Ballena spotka wieloryba. Park – widoczny na zdjęciu poniżej z lotu ptaka – ma plaże doskonałe do długich samotnych wędrówek. Na jego terenie znajduje się największa w Ameryce Środkowej (od strony Pacyfiku) rafa koralowa.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. SHUTTERSTOCK

SZCZĘŚCIE TO POWOLNE ŻYCIE

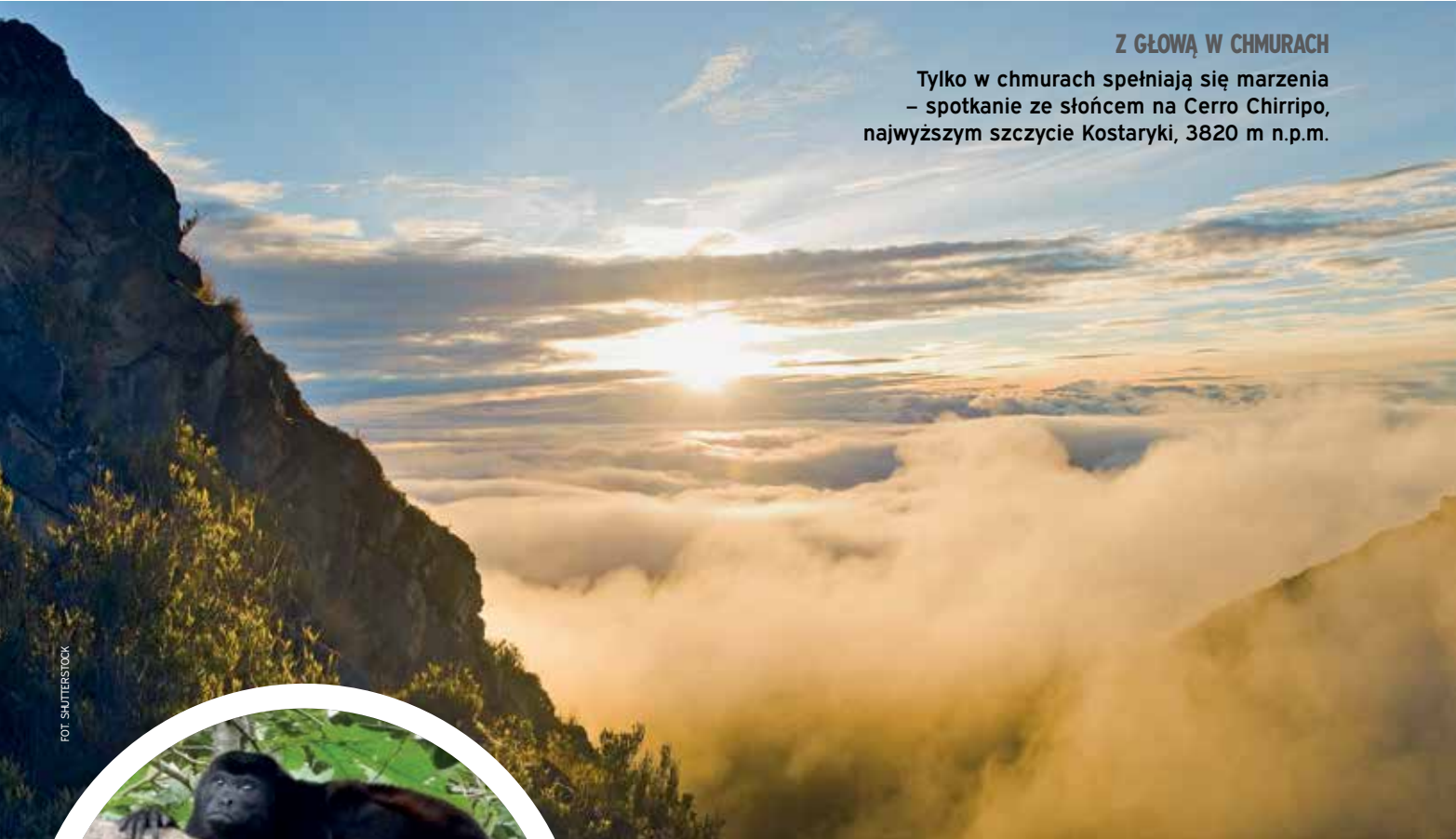
Po leśnych przygodach zatęskniłam za wybrzeżem Pacyfiku i domkiem z szumem oceanu. Rozległe piaszczyste plaże i bezkres wody dają poczucie wolności. Jadę do Uvity. Docieram tam o ósmej wieczorem. Autobus zostawia mnie na drodze, skąd podobno tylko 15 minut do oceanu. Wędruję w ciemności i czuję zniewalający zapach – nieznaną kwiat nocy pachnie ciepłem, słodyczą, namiętnością. Po chwili zauważam światelka, to właśnie mój nadmorski domek na drzewie.

Czyste powietrze, świergot ptaków, szum drzew i wody. Poranek kontynuuję w stylu *pura vida* – zabieram matę do jogi i idę powitać słońce wschodzące nad wodą. Wszystko w doskonałej równowadze. Po jodze czas na kąpiel, niespieszne śniadanie, hamakowanie i rozkoszowanie się prostotą. A po południu spacer plażą w kierunku „wielorybiego ogona” – to miejsce, gdzie dwie zatoki łączą się ze sobą, zaś podczas odpływu wyłania się piaszczysta plaża, która z lotu ptaka przypomina ogon wieloryba. Ten obszar należy do parku narodowego Marino Ballena, słynącego z wielorybów, które można obserwować od grudnia do marca. Wieczorem pocztówkowy widok: pomarańczowe słońce i surfujące sylwetki.

Wracając z plaży, odczuwam gorączkę. Widzę domek z napisem *aceite de coco* (olej kokosowy). Właściciel oprowadza mnie po swojej małej fabryczce, oferując świeży produkt, doskonały na poparzenia słoneczne. Olej podobno doskonale rozgrzewa, koi obolałe ciało i gwarantuje piękne sny. Na małą buteleczkę (150 ml) zużywa się pięć kokosów. Do dzisiaj trzymam jego resztki, wierząc w magiczną moc, choć przecież cała ta magia to przede wszystkim szczerść, uśmiech, uczciwość, zaufanie. Jak to się stało, że ludzie w Kostaryce wiedzą to i praktykują, a my już zapomnieliśmy?

Z GŁOWĄ W CHMURACH

Tylko w chmurach spełniają się marzenia
– spotkanie ze słońcem na Cerro Chirripo,
najwyższym szczycie Kostaryki, 3820 m n.p.m.



FOT. SHUTTERSTOCK



FOT. ANNA YSIAZEK

SZCZĘŚCIE
W CHMURACH

Aby trafić na najwyższy szczyt Kostaryki, Cerro Chirripo (3820 m n.p.m.), jadę najpierw do małego San Gerardo de Rivas (350 mieszkańców), gdzie dookoła zielone góry, plantacje kawy i cisza.

Generalnie nic się nie dzieje i to mnie zachwyca. Udaję się po pozwolenia na trekking, które organizowałam dwa miesiące wcześniej – park ma skomplikowaną procedurę rezerwacji, a dzienny limit turystów to tylko 50 osób. Miasteczko oferuje ciekawe jak dla mnie atrakcje: manufakturę czekolady, małą fabrykę sera, zaczarowany ogród.

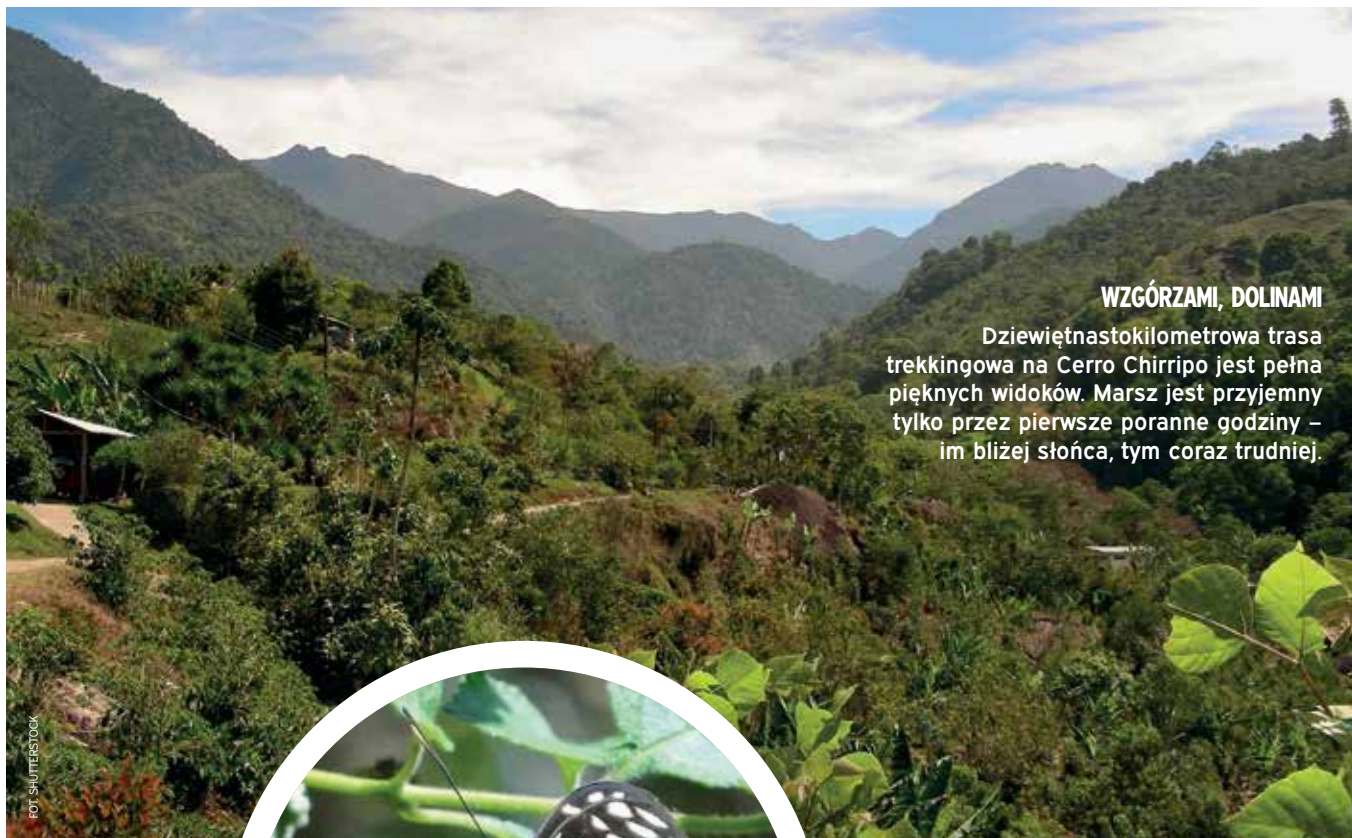
Postanawiam zacząć od ogrodu. Właściciel na dzień dobry oferuje *casado*, czyli lunch w lokalnym stylu. Na początek świeży sok z papai, danie główne to smażona lokalna ryba, ryż, smażone banany i miseczka czarnej fasoli z...

kawałkami bananów. Bernan opowiada o swoich wejściach na Chirripo, pokazuje zdjęcia, a potem przybiega cała jego rodzina i spędzamy wspólnie czas. Jest tak, jakbyśmy się znali od lat. Jeszcze tylko deser, czyli ryż na mleku z cynamonem, i możemy iść do ogrodu. To pasja Bernana, zna w nim każdą roślinkę. Na mnie wrażenie robią liczne orchidee, helikonie, a także ozdobne, różowe banany.

Wracam do Casa Mariposa, mojego pensjonatu położonego 100 metrów od wejścia do parku. Szybkie pakowanie na trekking i krótki sen. Czeka mnie 14 km pod górę aż do schroniska Los Crestones, skąd kolejne 5 km na szczyt. Wyruszam o 7 rano, pierwsze kilometry pośród wilgotnego i orzeźwiającego lasu z pięknie podświetlonymi okolicznymi wzgórzami. Szlak jest doskonale oznaczony, każdy fragment ma swoją nazwę, na przykład: zakątek małp, miejsce *quetzali*, odcinek bambusowy. Pomimo że nieustannie pod górę, szlak nie jest trudny. Zbliżam się do wysokości 3000 metrów n.p.m., gdzie roślinność głównie trawia-

CHWILA CISZY

Wyjec, odpoczywający po nocnych harcach, raczej nie marzy o świetle dnia, tylko o śnie, którego innych pozbawił (te małpy są najgłośniejszymi zwierzętami lądowymi, mają głos rozchodzący się w promieniu 5 km).



WZGÓRZAMI, DOLINAMI

Dziewiętnastokilometrowa trasa trekkingowa na Cerro Chirripo jest pełna pięknych widoków. Marsz jest przyjemny tylko przez pierwsze poranne godziny – im bliżej słońca, tym coraz trudniej.



sta, a spalone drzewa odrastają po pożarze sprzed kilku lat. Na szczytach okolicznych wzgórz wysokie (do 60 metrów), ostre formacje skalne, zwane *los crestones* – to od nich zaczerpnęła swoją nazwę baza noclegowa.

Zostają mi 3 kilometry do schroniska, odcinek ostro pod górę. Mijają mnie Kostarykańczycy, którzy zbiegają z góry. Okazuje się, że bieg na szczyt i z powrotem to popularna konkurencja. W lutym odbywa się tu międzynarodowy bieg, którego trasa liczy 34 kilometry, a zwyczajcy pokonują ją w 3 godziny. W końcu docieram do bazy położonej na wysokości 3400 metrów n.p.m., na otwartej przestrzeni, gdzie wieje niebotycznie. Czuję, jak moje dłonie zamarzają.

W schronisku zdecydowana większość to Kostarykańczycy, więc atmosfera *pura vida*. Siedzą i czekają na odpowiednią pogodę,

by wejść na szczyt, skąd przy dobrych warunkach można podziwiać zarówno Pacyfik, jak i Morze Karaibskie. Uznaję, że na dzisiaj wystarczy i szczyt zdobywać będę jutro. Spędzam popołudnie na radosnych rozmowach. Pod-

czas kolacji miejscowi przekonują mnie, że wszyscy wstają o 2 nad ranem, by powitać słońce na czubku Chirripo. Kładę się więc spać o ósmej wieczorem i śpię słodko, opatulona w dwa śpiwory i wszystkie ubrania, które ze sobą zabrałam.

O 2.30 budzi mnie Thomas. Dookoła cicho. Pytam, gdzie są wczorajsi Kostarykańczycy? No cóż, smacznie śpią. *Pura vida*.... Na spotkanie słońca idziemy z Thomasem sami. Na górę docieramy po dwóch godzinach. Wieje okropnie, nic nie widać, ale jest jakaś postać na szczycie. A jednak... dzielna Maria wyszła cichutko przed nami. Po kwadransie

W MĘCZENNICZĄ POCZĘTĄ

Motyli jest tutaj 9250 gatunków, z czego 8000 nocnych. Na zdjęciu hekal złoty, lubiący lasy deszczowe. Dobrze lata, pokonując w swym 9-miesięcznym życiu duże odległości. Rodzi się z jajek złożonych w kwiatach męczennicy.



NA WIELKIEJ PLAŻY I FALA SIĘ ZDARZY

Playa Grande leży w morskim parku narodowym Las Baulas, którego nazwa pochodzi od największych na świecie żółwi morskich, zwanych skórzastymi. Wielka Plaża słynie z dobrego wiatru i najlepszych fal, będąc rajem dla surferów i kitesurferów.

pojedyncze promienie zaczynają rozświetlać noc. Jesteśmy ponad chmurami, na chwilę pojawia się słońce i widzimy okoliczną dolinę morenową z kilkoma lagunami. Schodząc, mijamy *paramo*, teren polodowcowy – głównie trawiasta roślinność, od czasu do czasu wyłaniające się górskie jeziora, których jest tutaj około 30. W bazie jemy śniadanie i wyruszamy w drogę powrotną.

Wpadamy na pomysł, aby po odświeżeniu się w pensjonacie udać się do źródeł termalnych dla zregenerowania sił. Pomysł wyborny, ciepła woda koi zbolełe mięśnie. Kolację zjadamy w pobliskiej hodowli pstrągów, gdzie samodzielnie łowimy ryby. Uroczę

panie przygotowują grillowaną rybę i to jest doskonałe zakończenie trekkingu: kolacja przy świecach w ogrodzie orchideowym z szumem pobliskiego strumienia. Do mojego pensjonatu

docieram ostatkiem sił, bo dzisiaj prze-wędrowałam przecież 30 kilometrów! Lubię to uczucie fizycznego zmęczenia połączone z wypełniającym człowieka szczęściem.

SZCZĘŚCIE NA ZIEMI

Ponownie zamarzyłam o oceanie. Wybieram Playa Grande na półwyspie Nicoya w prowincji Guanacaste. To tutaj Kostarykańczycy żyją najdłużej (na długowieczność wpływają cztery czynniki: zdrowa dieta, aktywność fizyczna, warunki otoczenia oraz wiara). Jako bazę wybieram kamping surferów. Playa Grande słynie z doskonałych fal, a poza surferami



FOT. ANNA KSIĄŻEK

nie ma tam turystów. Na początek maszeruję osiem kilometrów wzdłuż oceanu, do czarnej plaży z piaskiem wulkanicznym. W zatoczce pływam sama. Woda transparentna, chwilami ławice rybek wykazujących zainteresowanie moją postacią. Potem czas na lunch – *tacos* ze świeżą rybą. I do końca dnia słodkie nicnierobienie w oczekiwaniu na pierwszą lekcję surfingu.

Poznaję mojego nauczyciela, Vidiera, do niedawna piłkarza narodowej reprezentacji. Okazuje się najlepszym nauczycielem surfingu, a to z powodu wyjątkowych umiejętności motywowania. Pierwsze chwile to balansowanie na desce pośród fal w pozycji leżącej. Po pół godzinie Vidier uznaje, że czas na stanie na desce i łapanie fali. Lata jogi na niewiele się zdają, bo podnoszenie z deski wydaje się nieosiągalne. Wychodzę na brzeg zrezygnowana, padam na piasek, oczy szczypią, pić się chce. Okazuje się, że na pragnienie świetna jest woda kokosowa – lokalny chłopiec wchodzi na palmę i zrzuca dwa kokosy, a Vidier je rozbija. Energia odzy-

ALL INCLUSIVE

Magazyn ALL INCLUSIVE to **największy bezpłatny prestiżowy magazyn turystyczny** w Polsce

ALL INCLUSIVE to **opiniotwórczy magazyn o turystyce** luksusowej, aktywnym wypoczynku oraz o egzotycznych kierunkach podróży!

Kreujemy modę na nowe, egzotyczne, ekskluzywne kierunki wyjazdów turystycznych oraz na aktywny wypoczynek! Piszemy o klimatycznych i luksusowych hotelach.

Współpracujemy m.in. z: Kancelarią Sejmu RP, Polską Izbą Turystyki (PIT), Krajową Izbą Sportu (KIS), Ministerstwem Gospodarki RP, Stowarzyszeniem Eksporterów Polskich (SEP), Lang Team, Polsko-Hiszczańską Izbą Gospodarczą, Polsko-Chińską Izbą Gospodarczą, Polsko-Portugalską Izbą Gospodarczą etc.

Zapraszamy do lektury i do współpracy!

e-mail: m.domanski@all-inclusive.com.pl
marketing@all-inclusive.com.pl
www.all-inclusive.com.pl

R E K L A M A

skana. *Pura vida!* – wracam do wody. Kolejne spotkanie z falami okazuje się prostsze. Udaje mi się złapać trzy pod rząd. I tak aż do zachodu słońca: leż – powstań – zegnij nogi – teraz twoja fala i... lądowanie w wodzie.

Wracając z deską po plaży, czuję, że złapałam bakcyła. Uroku dodaje zachód słońca i wieczorne rozmowy z surferami. Już wiem, że to jest moje miejsce na ziemi. Kiedyś czytałam o hedonistycznych uciekinierach od cywilizacji – ludziach, którzy przenoszą się do innych krajów dlatego, że tylko tam czują się szczęśliwsi. To efekt chwili objawienia, kiedy uzmysławiają sobie, że urodzili się w niewłaściwym miejscu. *Pura vida*, żyć nad oceanem, łapiąc szczęśliwe fale... To jest pomysł! W moim przypadku przynajmniej na najbliższy tydzień. ○



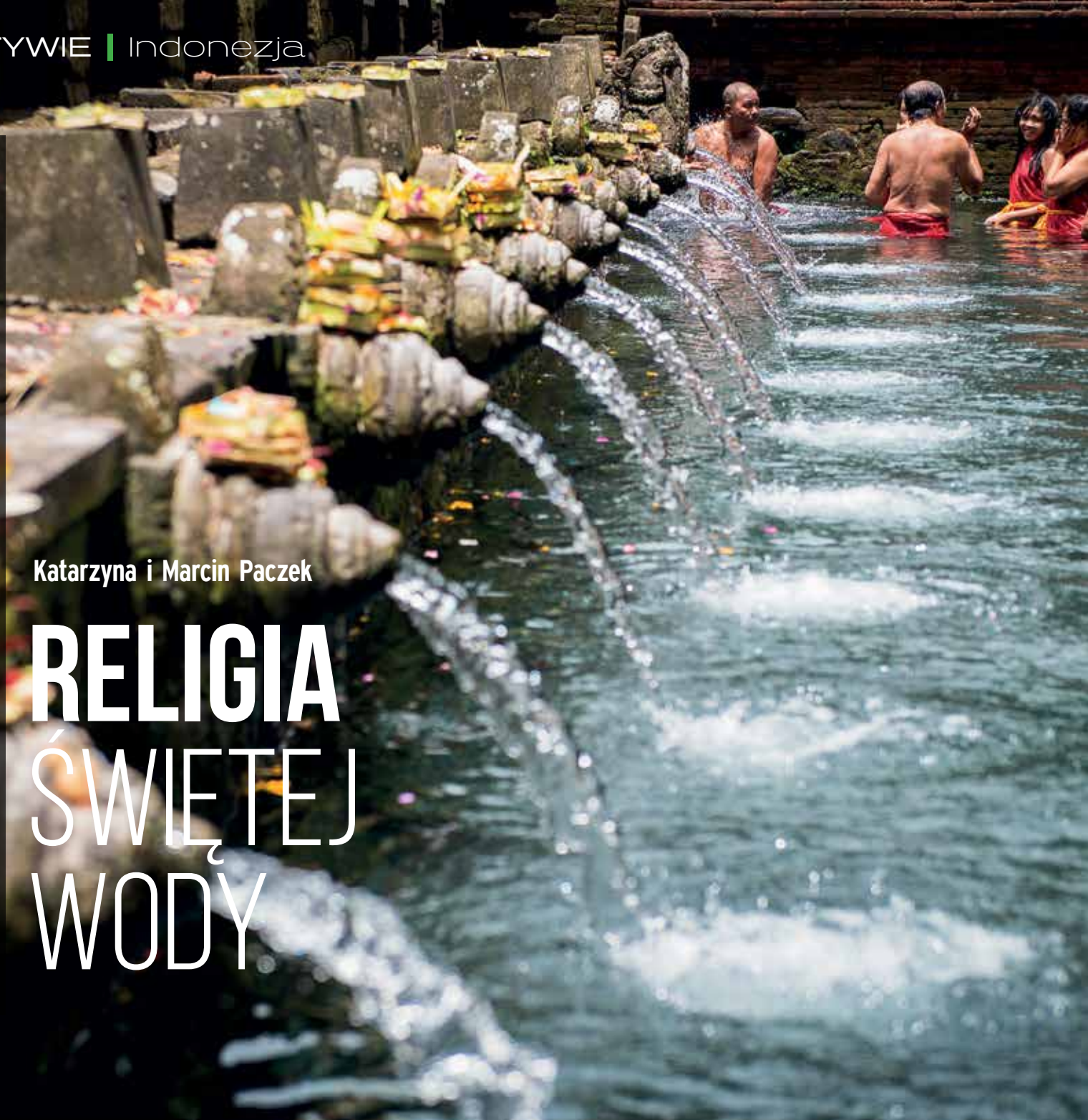
Anna Książek

Od 5 lat zakochana w Ameryce Łacińskiej, po której najbardziej lubi podróżować sama. Najlepiej czuje się w Kolumbii i Kostaryce, więc nieustannie tam powraca.

Bali, najpopularniejsza wyspa w Indonezji, co roku zalewana jest milionami turystów, którzy przywożą zachodni styl życia. Mimo to Balińczycy pozostają wierni swoim tradycjom. Żyją w harmonii z naturą, są przywiązani do swojej kultury, ziemi, a nade wszystko do religii, wokół której kręci się ich życie. Hinduizm balijski, nazywany przez wyznawców *agama tirtha*, czyli religią świętej wody, jest jedną z najbarwniejszych religii świata.

Katarzyna i Marcin Paczek

RELIGIA ŚWIĘTEJ WODY





Balijczycy pielgrzymują do świątyni, aby dokonać rytualnego oczyszczenia w jej basenach oraz zapewnić sobie dobrobyt i zdrowie dzięki leczniczym właściwościom wody.



Każdego ranka Balińczycy wędrują do najbliższej świątyni, by złożyć małe dary z palmowych liści, zwane *canang sari*, zawierające symboliczną ilość jedzenia (zwykle ryżu) i kwiaty plumerii.



Kwiaty plumerii lub, jak nazywają je Balijszczy, *kamboja* uważane są za święte i stanowią nieodłączny element każdej ceremonii – nosi się je we włosach lub trzyma w dłoniach podczas modlitwy.



Ceremonie w balijskich świątyniach prowadzone są przez ubranego na biało kapłana *pawangku*, który siedzi wyżej od reszty wiernych. Każda świątynia ma swojego *pawangku*, będącego jej opiekunem i strażnikiem.

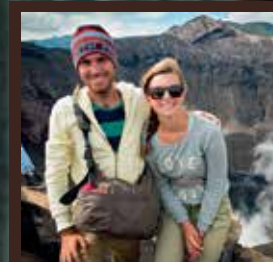


W hinduizmie balijskim woda jest święta, a wierni, aby otrzymać błogosławieństwo bogów, musi zostać oczyszczony wodą poświęconą przez *pemangku*, nazywaną *tirtha*.



Wierni najpierw składają dary w świątyni, aby potem, modląc się, zanurzyć się w świętej wodzie. Wielu zabiera ją w butelkach do domów, by nadal móc korzystać z jej cudownych właściwości.

Przed posągami hinduskich bogów
codziennie zapala się kadzidła,
a głowy bóstw przyozdabiane są
świeżymi kwiatami.



Katarzyna i Marcin Paczek

Ona – architekt, on – konstruktor. Zostawili swoje życie w Polsce, by wyruszyć w podróż dookoła świata. W ciągu półtora roku odwiedzili 12 krajów w Azji i Australię, a od kilkunastu miesięcy jadą motocyklem przez Ameryki: z Los Angeles w Stanach Zjednoczonych do Ushuaia w Argentynie.



Z PERSPEKTYWY
Ryszard Badowski

241 BIAŁYCH NIEDŹWIEDZI

członkowie wypraw naukowych mieli prawo strzelać do tych zwierząt jedynie w udokumentowanej samoobronie.

Na krańcu świata

W 1975 r. Jan Szupryczyński, autor wielu artykułów w miesięczniku *Poznaj Świat*, z którym w międzyczasie się zaprzyjaźniłem, już jako profesor nadzwyczajny UMK założył istniejącą do dziś wysuniętą najdalej na północ polską placówkę naukową na Ziemi Oskara II w północno-zachodniej części Spitsbergenu. Tego lata obchodzi ona 40-lecie swego istnienia. Nazywana jest potocznie stacją na krańcach świata. Do bieguna jest z niej przeszło dwa razy bliżej niż do Torunia. Dokładnie 1265 i 2873 km. Aby się do niej dostać, trzeba użyć powietrznych, wodnych i lądowych środków lokomocji.

„Nie strzelać do białych niedźwiedzi”. Taki apel holenderskich uczonych zamieścił w lutym 1971 roku *Poznaj Świat* w numerze 219. Jan Szupryczyński, który piętnaście lat wcześniej ukończył studia geograficzne na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu, był już znanym polarnikiem. Na macierzystej uczelni habilitował się rozprawą o lodowcach Spitsbergenu. Miał za sobą dwa wyjazdy na największą wyspę archipelagu Svalbard, szczykował się do trzeciego. Wówczas zetknąłem się z nim po raz pierwszy. W okolicach podbiegunowych całej półkuli północnej żyło wtedy 37 tysięcy sztuk tych wspaniałych zwierząt.

W 1795 r. pojawili się obok nich zawodowi norwescy traperzy, których wyprawy od 1815 r. odbywały się co rok. Polowali na nie przez całe polarne lato pojedynczo lub w kilkuosobowych artelach. Niektórzy zimowali w skleconych przez siebie drewnianych domkach, których budulec na bezludnej wyspie stanowiły burty zmiażdżonych przez lody statków oraz pnie przyniesione z syberyjskich rzek z prądami morskimi. W końcu XIX w. kompanie żeglugowe zaczęły organizować rejsy turystyczne na Spitsbergen, największą ich „atrakcją” stanowiło amatorskie polowanie na arktyczne zwierzęta. Angielski myśliwy James Lamont chciał się tym, że tylko w 1885 r. zabił osiem niedźwiedzi oraz kilkadziesiąt morsów i fok, nie licząc wielu reniferów. Na specjalnie wynajętych w tym celu norweskich statkach oraz na własnych jachtach na niepodlegający nikomu do 1920 roku Spitsbergen przybywali po polarne trofea Austriacy, Francuzi, Włosi oraz przedstawiciele innych nacji.

Ich dalszego losu dotyczyła nasza rozmowa. Myśliwi odstrzelili w tamtych czasach 1200 niedźwiedzi polarnych rocznie. Holenderscy zoologzy alarmowali, że jeśli pogłowie największych zwierząt Arktyki kurczyć się będzie nadal w takim tempie, wkrótce zostaną całkowicie wyniszczone. Ich manifest zdobiła fotografia niedźwiedzicy, tulącej czule do piersi dwa bezbronne niedźwiadki, które dopiero co przyszły na świat.

Pięć wieków rzezi

Na Spitsbergenie polowali na nie jako pierwsi Normanowie oraz rosyjscy Pomorcy z Półwyspu Kolskiego wyprawiający się na drewnianych łodziach po ich skóry prawdopodobnie już w XV wieku.

Kwestię przynależności Spitsbergenu rozstrzygnął Traktat Paryski, który podpisała grupa 8 państw, zainteresowanych obecnością w tej części Arktyki. Powierzały jego administrację Norwegii, z zastrzeżeniem swobody swoich badań naukowych i dostępu do bogactw naturalnych największej wyspy w Arktyce. Z czasem liczba państw, które dołączyły do tego traktatu, wzrosła do ponad trzydziestu. W 1931 r. znalazła się wśród nich Polska.

Zakaz polowania na niedźwiedzie polarne na Spitsbergenie władze norwskie wprowadziły w 1973 roku. Dokładne przepisy określały, w jakich okolicznościach można użyć broni przeciwko niedźwiedziom. Stali mieszkańcy oraz



FOT. Z ARCHIWUM AUTORA

Do Longyearbyen, głównego miasta Spitsbergenu, dotrzeć można samolotami z przesiadkami na norweskich lotniskach. Przeznaczyć na to należy niekiedy cały dzień. Stamtąd statkami z zaopatrzeniem płynie się ponad dobę do najbardziej wysuniętej na północ osady Ny Alesund. Do stacji UMK można się z niej dostać na skuterze śnieżnym lub na nartach.

Przez 40 lat polarnicy z miasta Kopernika odwiedzili swoją stację 41 razy. W ich wyprawach wzięło udział 130 geografów różnych specjalności. Regularnie odwiedzają stację UMK studenci, doktoranci i naukowcy z innych ośrodków polskich oraz zagranicznych. Gościła też alpinistów, speleologów i płetwonurków, usytuowana jest bowiem nad głęboką zato-

ką Hornbaek w cieśninie Forland, gdzie statki mogą bezpiecznie zakotwiczyć nawet w czasie sztormów. Jest ona wolna od lodu już w połowie czerwca. W 1975 r. zarzucił tutaj kotwicę ORP „Kopernik” z grupą geofizyków morskich.

Od brzegu morza stacja jest oddalona zaledwie o 150 m. Leży na łątwie do pokonania Równinie Kaffioyra, u podstaw dwu wielkich lodowców, spływających ze zboczy gór. Pierwszym, który dostrzegł walory tego miejsca, umożliwiające przeprowadzenie wszechstronnych badań naukowych, był nestor polskich polarników Antoni Bolesław Dobrowolski, który przeprowadził tu w 1938 r. badania glaciologiczne. Jego nazwisko nadał niewielkiemu lodowcowi w pobliżu Sassenfjordu szwedzki badacz przyrody polarnej Gerard de Geer. Lodowiec ten można znaleźć na niektórych szczegółowych mapach Spitsbergenu.

Od uczestników wypraw UMK otrzymywałem przez wiele lat ciekawie ostemplowane listy stanowiące prawdziwy rarytas filatelistyczny. Przechowuję do dziś jeden z nich, nadany przez III Toruńską Wyprawę Polarną, ofrankowany znaczkiem norweskim z pieczętką opatrzoną wizerunkiem renifera. Na kopercie znajduje się również ręcznie wykonana polska pieczęć z napisem: „Wysłano ze stacji naukowo-badawczej Toruńskich Wpraw Polarnych, Spitsbergen Zachodni, Ziemia Oskara II. Kaffioyra 75°41'N 11°45'E”, nad którą biały niedźwiedź wspina się na czubek globusa.

Oko w oko z królem Arktyki

Pora chyba wyjaśnić, jak się ma tytuł mojego dzisiejszego wspomnienia do polskich polarników na Spitsbergenie. Czy aby nie sugeruje, że taką właśnie liczbę niedźwiedzi upolowali? Nawiązuje on do programu telewizyjnego, w którym w grudniu 1978 r. prof. Jan Szupryczyński po powrocie z kolejnej całorocznej wyprawy na Spitsbergen opowiedział w Klubie Sześciu Kontynentów o wizytach groźnych drapieżników Arktyki w głównej polskiej stacji naukowej w Hornsundzie nad Zatoką Białego Niedźwiedzia. Leży ona na szlaku zimowych migracji niedźwiedzi polarnych, które o tej porze roku niekiedy kilka razy w ciągu doby zaglądają na polską stację oraz pojawiają się w norweskich i rosyj-

skich osadach górniczych, szukając pożywienia w pobliżu stołówek i wysypisk śmieci. Tamtej zimy w samym tylko Hornsundzie zanotowano 241 takich wizyt.

W tym samym programie opowiadał o swym pierwszym zetknięciu oko w oko z białym niedźwiedziem geofizyk dr Maciej Zalewski, uczestnik pierwszej powojennej polskiej wyprawy na Spitsbergen w 1957-1958 roku oraz meteorolog dr Edward Jarmuszewski, pierwszy polski naukowiec, którego wygłodzony niedźwiedź zimą zaatakował. Na szczęście niedźwiedzia polarnego można odstraszyć strzałem ostrzegawczym z karabinu lub w skrajnym przypadku użyć do jego odpędzenia rakietnicy. Zimą tamtego roku niedźwiedzie dobiły się do okien polskiej stacji, a gdy zasypał ją śnieg, próbowały dostać się do jej wnętrza przez dach. Każda taka wizyta została odnotowana i opisana. Gdy trzeba było się oddalić od stacji dla odczytania z wystawionej na zewnątrz aparatury, nasi polarnicy wychodzili zawsze parami. Jeden zajmował się czynnościami naukowymi, drugi go ochraniał. Jan Szupryczyński mówił o sprycie oraz inteligencji niedźwiedzi, które zasadzają się na fokę w pobliżu przerebłbi, zakrywając białą łapą czarną plamę na nosie, co czyni je prawie niewidocznymi. Sam obserwował, jak biały niedźwiedź zaczął się za zwaliskiem lodu na polarnika, którego zaatakował dopiero, gdy jego kolega się oddalił. Pokazał 20 przeżrocy z różnych polskich spotkań z niedźwiedziami.

W 37 lat później

Populacja białego niedźwiedzia wkrótce się odrodziła. Objęto go również ochroną na polarnych obszarach Syberii i Dalekiego Wschodu ówczesnego ZSRR. W Kanadzie wprowadzono drakońskie kary nie tylko za zabijanie niedźwiedzi przez białych myśliwych, ale także za handel niedźwiedziami skórą i futrami. Prawo do ich ściśle reglamentowanego odstrzału zachowali jedynie Eskimosi i rdzenne ludy rosyjskiej Dalekiej Północy. Niestety, na tegorocznym spotkaniu Konwencji o międzynarodowym handlu zagrożonymi gatunkami (CITES), która odbyła się w Bangkoku, Kanada, Gren-

landia i Norwegia storpedowały wniosek USA o zakazie globalnego handlu skórą i futrami niedźwiedziami. W Kanadzie znów ginie 800 niedźwiedzi polarnych rocznie, z czego 400-500 trafia w różnej postaci za granicę. Na aukcjach międzynarodowych podaż ich skór wzrosła z 60 w 2010 r. do 225 w 2012 r. Za najlepsze niedźwiedzie futro można uzyskać 10 tysięcy dolarów. Cena zębów i pazurów waha się od 20 do 200 dolarów za sztukę. To przyczyniło się do nawrotu kłusowniczych polowań na białego niedźwiedzia. W Rosji kilka lat temu dopuszczono ich reglamentowany odstrzał przez dewizowych myśliwych, którzy w pobliżu Ziemi Franciszka Józefa polują na nie z helikopterów.



Listy toruńskich polarników ze stacji UMK na Spitsbergenie docierały do mnie jeszcze w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych. Prof. Jan Szupryczyński zapraszał mnie do Torunia na organizowane przez niego i jego uczniów sympozja polarne. Teraz jest na profesorskiej emeryturze. 27 czerwca ukończył 81 lat. Mam nadzieję, że trafi do niego 700. numer *Poznaj Świat*, w którym przypominam początki naszej znajomości, którą zapoczątkował nr 219. Czas szybko biegnie, a historia lubi się powtarzać. W sprawach niedźwiedzich zatoczyła krąg.

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Centrum jego zainteresowania stanowią odkrycia geograficzne Polaków oraz ich wkład w kulturę i osiągnięcia cywilizacyjne innych narodów. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 58 lat.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

W kuchni peruwiańskiej bardzo popularne są dania z ziemniaków, które dostępne w kilkuset różnych gatunkach. Do *papa rellena* należy użyć mącznej odmiany (jak na kopytka). Krokiety serwuje się zazwyczaj z *salsą criolla*, a także z ryżem.



PAPA RELLENA

🕒 1 GODZINA 🍴 6 OSÓB

🍳 SKŁADNIKI PAPA RELLENA:

1 kg ziemniaków
½ kg mielonej wołowiny
pół szklanki oleju
1 posiekana cebula
2 wyciśnięte ząbki czosnku
1 posiekana papryczka chili
2 jajka ugotowane na twardo
garść czarnych oliwek
garść rodzynek
mąka pszenna
posiekana natka pietruszki

🍳 SKŁADNIKI SALSA CRIOLLA:

pół czerwonej papryki
pół zielonej papryki
czerwona cebula
2 ząbki czosnku
natka pietruszki
pomidor
4 łyżki oliwy
2 łyżki octu z czerwonego wina

🍳 Ziemniaki ugotować w mundurkach, po wystudzeniu obrać i przecisnąć przez praskę do uzyskania jednolitej konsystencji. Na patelni zeszklić cebulę, dodać czosnek, a następnie wołowinę i usmażyć. Dodać chili, drobno pokrojone jajka i oliwki oraz sparzone uprzednio rodzynki. Smażyć ok. 5 minut, po zdjęciu z ognia dodać pietruszkę, doprawić do smaku i wymieszać. Rękoma zanurzając w mące formować z ziemniaczanej masy placki, na środku kłaść nadzienie i zawijać placki w wrzecionowaty kształt. Smażyć na głębokim, rozgrzanym oleju do zarumienienia. Składniki na *salsa criolla* drobno pokroić i wymieszać.

Aktywny urlop

Rozpoczął się sezon urlopów. Camping, góry, plaża, rowery, kajaki, wspinaczka – mamy kilka propozycji odzieżowych i sprzętowych.

Cena: ok. 250-950 zł
www.wdc.com/pl



JESZCZE POJEMNIEJSZY WD MY PASSPORT ULTRA

Firma WD wprowadziła nową wersję swoich popularnych pamięci przenośnych My Passport Ultra. Oprócz nowych kolorów (czarny, biały, niebieski i czerwony) seria powiększyła się o model o pojemności 3 TB. Napęd wyposażony jest w 256-bitowe szyfrowanie sprzętowe AES oraz oprogramowanie WD Backup do łatwego, intuicyjnego i automatycznego tworzenia kopii zapasowych na dysku lub w chmurze. Moc USB 3.0 pozwoli nie tylko na szybki dostęp i zapis plików, ale – co ważne – daje również zasilanie pamięci. Dodatkowo do dyspozycji jest zestaw akcesoriów WD Grip Pack w 5 kolorach, który pozwoli nadać pamięci My Passport Ultra bardziej osobisty charakter.

Cena: ok. 80 zł
www.deltaoptical.pl



NA KAŻDĄ WĘDRÓWKĘ DELTA OPTICAL VOYAGER S 10X32

Jest na co popatrzeć i jest przez co popatrzeć, bo nowa lornetka Delta Optical Voyager S jest estetycznie zaprojektowana i spełnia wszystkie wymogi lornetki do obserwacji turystycznych. Jest lekka, kompaktowa – waży jedynie 350 g. Po złożeniu mieści się w kieszeni. Estetyczny korpus i jego ogumowana powierzchnia

są stylowe i wyglądają efektownie. Lornetka Voyager S sprawdza się w różnych wakacyjnych warunkach. Żywa kolorystyka i wysoki kontrast obrazu to zasługa powłok antyodblaskowych, którymi pokryte są soczewki.

LEKKI I MAŁY THERMAREST NEOAIR XLITE

Najlżejszy i najmniejszy po spakowaniu materac marki Thermarest jest ciepły, wygodny i lżejszy aż o 15 proc. od zeszłorocznego modelu. Wykończenie materiałów wierzchnich powoduje, że materac nie ślizga się po podłożu, a śpiwór po materacu. NeoAir XLite jest przeznaczony do użytkowania w okresie od wiosny do jesieni. Tak jak wszystkie materace marki Thermarest objęty jest nieograniczoną czasowo gwarancją producenta. Dostępny w 3 rozmiarach oraz w wersji specjalnie dla pań.

Cena: ok. 540-770 zł
(w zależności od rozmiaru)
www.sklep.paker.pl



BARDZO WYGODNE LIZARD HIKE UNISEKS

Niezawodne, przyczepne, lekkie, trwałe i bardzo wygodne. Skórzana wyściółka jest miła dla skóry, trwała i antybakteryjna. Podeszwa Vibram, zaprojektowana specjalnie dla Lizarda, daje niezawodną przyczepność w najróżniejszych terenie. Śródpodeszwa wykonana z poliuretanu nie zmienia kształtu, nie ubija się i doskonale amortyzuje. Differential, czyli wysokość (uniesienie) podeszwy pod piętą, wynosi 0 mm. 25-mm paski są poprowadzone w całości pod podeszwą, nie są klejane. Trzypunktowa regulacja rzepami. Głęboko wcięta tylna część nie pozwala pięcie się przesuwać.

Cena: ok. 280 zł
www.sklep.paker.pl



NA POGODĘ I NIEPOGODĘ MIŁO KEMO

Dla tych, którzy aktywnie spędzają czas niezależnie od pogody, firma Milo zaprojektowała kurtkę, która sprawdzi się w każdych warunkach. Japońska membrana Gelantos 3S oferuje świetną oddychalność i wysoką wodporność (odpowiednio: 52.000 g/m²/24h i 20.000 mm/H₂O). Dodatek stretchu i techniczny krój sprawiają, że Kemo zapewnia poczucie komfortu, idealnego dopasowania i swobodę ruchów w różnych formach aktywności. Kurtka jest bardzo lekka i łatwo pakowna. Ma w pełni regulowany kaptur i mankiety, prosty dostęp do kieszeni nawet po założeniu plecaka, wywietrzniki pod pachami i podklejane szwy, a także dodatkową kieszeń na ramieniu. Wszystko to sprawia, że Kemo jest znakomitym towarzyszem nie tylko na wycieczce w górach, ale także na co dzień.

Cena: ok. 990 zł
www.milo.pl



sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 40 zł/400 g
www.opimum.org.pl



Cena: ok. 370 zł
www.decathlon.pl

NIEZWYKLE PRAKTYCZNY QUECHUA FORCLAZ EASYFIT 60

Wygodny plecak na kilkudniowe wędrowki, o pojemności 60 l, ważący 1,8 kg. System EasyFit pozwala dopasować plecak jednym ruchem ręki, na plecach użytkownika, przez co rzeczywisty czas regulacji jest 2-3 razy krótszy niż w przypadku plecaków z klasyczną regulacją. Test statystyczny Friedmana wykazał, że dzięki temu systemowi użytkownicy 6 razy częściej prawidłowo regulowali plecak.

TRWAŁE I KOMFORTOWE QUECHUA FORCLAZ 700

Uniwersalne buty techniczne z wodoodporną membraną Novadry®. Dobre trzymanie i stabilność stopy gwarantują systemy 360° i X Stab concept. Amortyzację zapewnia pianka EVA o dwóch różnych gęstościach z przodu i z tyłu stopy. Precyzyjne dopasowanie dzięki przedłużonemu sznurowaniu oraz dobra przyczepność dzięki podeszwie ESSENSOLE. Polecane na regularne, całodniowe wędrowki po górach, po trudnym i skalistym terenie w każdą pogodę.



Cena: ok. 270 zł
www.decathlon.pl

NAWODNIENIE TO PODSTAWA BORN DRINK ISOTONIC FRESH

To napój izotoniczny gaszący pragnienie, z minerałami w proszku. Dostarcza energii i zapewnia odpowiednią równowagę wodno-mineralną w organizmie. Ma świeży i dobry smak. Do stosowania w trakcie treningu. Przygotowanie: rozpuścić 12 g proszku w 250 ml wody. Z zawartości puszki można przygotować 33 porcje (łącznie 8,3 litra napoju).



Cena: ok. 115 zł
www.amc.krakow.pl



NOWOŚĆ PETZL TIKKA

Najnowsza wersja popularnej, kompaktowej latarki czołowej Tikka Petzl. Odświeżony design oraz parametry. Maksymalna ilość światła wzmocniona do 100 lumenów, zasięg do 55 metrów. Zapewnia przyjemne oświetlenie bliskiego zasięgu i umożliwia krótkie przemieszczanie się. Technologia Standard Lighting pozwala osiągnąć kompromis pomiędzy mocą a czasem świecenia. Latarka posiada szeroką wiązkę i dwa tryby oświetlenia, dzięki którym można dostosować ilość światła do każdej sytuacji. Dzięki fosforyzującemu reflektorowi łatwo znaleźć ją w ciemności.

NIEZAWODNY TRIPO C-258+KJ-2 RED

Nowa odsłona kolorystyczna znanego i uznanego zestawu Triopo C-258+KJ-2. Seria C to statywy wykonane z aluminium z domieszką tytanu - stopu, który mimo niewielkiej wagi jest wytrzymałym materiałem. Idealne dla każdego fotografa poszukującego solidnego narzędzia w przystępnej cenie. Maksymalne dopuszczalne obciążenie pozwala na fotografowanie lustrzanką ze standardowym obiektywem. Długość czterosekcyjnych nóg regulowana jest za pomocą klipsów zaciskowych QL®. W zestawie: Statyw z aluminium z domieszką tytanu, głowica kulowa KJ-2, futerał na głowicę, futerał na statyw z paskiem na ramię, klucz imbusowy do regulacji zawiasów.



Cena: ok. 200 zł
www.triopo.pl

NA KAŻDĄ OKAZJĘ HOYA FUSION ANTISTATIC

Nowa seria filtrów Hoya FUSION ANTISTATIC daje możliwość bezpiecznego fotografowania w trudniejszych okolicznościach przyrody, jak piaszczysta plaża, lekki deszcz lub mgła. Wszystko to dzięki antystatycznej powłoce, która tworzy nieprzepuszczalną barierę dla kropli wody, kurzu, pyłu oraz odporna jest na odciski palców. Hoya FUSION ANTISTATIC występuje w 3 rodzajach: ochronnym, UV oraz polaryzacyjnym.

Cena: 65-290 zł
www.hoyafilter.pl



FJORD NANSEN FAROE OUT & IN

Faroe Out to ultralekki (ok. 1 kg) namiot (tropik), którego można używać samodzielnie lub w zestawie z moskitierą Faroe In. Nie ma stelaża, a do jego rozstawienia potrzebne są dwa kijki trekkingowe lub prowizoryczne maszty, np. z prostych gałęzi (wysokość masztu powinna wynosić ok. 125 cm). Szczyty namiotu mają wszyte wzmocnienia w miejscach ustawiania masztów. Używając kijków trekkingowych, należy na grotę założyć ich ostony (lub zakryć końcówki), gdyż ostra widnia mogłaby uszkodzić materiał. Namiot można także rozbić bez masztów, podwieszając szczyty pod zawieszoną pomiędzy drzewami linkę. Jak podaje producent, wszystkie szwy są laminowane, zaś użyty materiał to 185T Poliester PU 3500 Polyri-
s t o p o nie-przemakalności 3500 mm słupa wody. Nie jest to nadzwyczajna wodoodporność, ale gdy liczy się przede wszystkim waga i uniwersalność produktu, ten wynik można uznać za bardzo dobry. Niestety nie miałem okazji sprawdzić go podczas deszczu, jednak kilka litrów wody wylanych na powierzchnię nie zostawiło śladów przemoknięcia (czy nawet nasiąknięcia). Na plus oceniam użycie odciągów w jaskrawym kolorze poprawiającym ich widoczność. W zestawie z namiotem jest pokrowiec i aluminiowe szpilki (8 szt.). Faroe In to z kolei niezwykle lekka (900 g) moskitiera, której można używać samodzielnie lub w zestawie z Faroe Out. Podobnie jak w opcji Out maszty robi się z kijów lub innego sprzętu. Podłoga i szczyty namiotu mają również wszyte wzmocnienia w miejscach ustawiania masztów. Wersja In jest wykonana

z materiału Mosquito Mesh. Wymiary sypialni to 250 x 200 x 125 cm. Podobnie jak Out również In można rozbić, podwieszając na linkach, co dodatkowo obniża wagę ekwipunku. Zestaw stanowi również pokrowiec oraz szpilki aluminiowe (8 szt.). Na obie części Faroe producent daje 24 miesięcne gwarancje.

Cena: ok. 280 zł
fjordnansen.pl

Cena: ok. 260 zł
fjordnansen.pl

To świetna propozycja dla osób, które rozpoczynają swoją przygodę z nieco bardziej ekstremalnymi biwakami. Licząc każdy gram ekwipunku, docenimy możliwość odchudzenia go o ok. 1 kg (kosztem tropika lub moskitiery). Cały zestaw mógłby być nieco tańszy, jednak waga (ok. 1,9 kg) jest z pewnością dobrą rekompensatą wydatku ponad 500 zł. Fjord Nansen Faroe to z pewnością godny polecenia namiot dla turystów szukających nietuzinkowych rozwiązań.

KEEN UNEEK

Keen Uneek przyciąga uwagę już na pierwszy rzut oka. Wygląda jak but zbudowany ze sznurówek... i tak właśnie jest. Już po kilku minutach użytkowania ma się wrażenie, że sandały te zostały zaprojektowane specjalnie pod naszą stopę – są niewiarygodnie wygodne. Do wykonania Keen Uneek użyto jedynie dwóch sznurówek oraz miękkiej podeszwy. Podeszwa wykonana z poliuretanu daje uczucie komfortu, z kolei neoprenowe (kauczuk syntetyczny) zakończenie w okolicach pięt stabilizuje stopę nawet na nierów-



nym podłożu. To całkowita nowość na rynku obuwniczym. Jak podaje producent, nawet najmniejszy szczegół został w nich zaprojektowany specjalnie z myślą o idealnym dopasowaniu do stopy. Cholewka to szybko schnąca syntetyczna sznurówka oraz miejscami zamszowa skóra ekologiczna. Podeszwa Flex Zone wykonana jest z gumy non-marking. Za tak niezwykłą wygodę odpowiada Metatomical Footbed Design™ – specjalnie wyprofilowana wkładka, która gwarantuje naturalne ułożenie stopy, stabilizację podczas dynamicznego ruchu oraz świetną amortyzację. Na komfort użytkownika ma również wpływ niewielka waga buta: 325 g (rozmiar 43). Sandały wiążą się szybko i wygodnie. Używając ich w mieście, na spacerze w parku czy podczas prowadzenia samochodu, mogę potwierdzić, że są uniwersalne. Design to oczywiście kwestia indywidualna, jednak przykuwają uwagę większości osób. Keen Uneek to z pewnością propozycja dla tych, którzy cenią wygodę, a przy okazji lubią się wyróżniać z tłumu.

Cena: ok. 440 zł
www.keen.pl





OLYMPUS STYLUS TG-4

Nie tylko fani sportów ekstremalnych doceniają wytrzymałe aparaty – Olympus zaprezentował nowy aparat Stylus Tough TG-4, który spodoba się każdemu, kto spędza dużo czasu na świeżym powietrzu i chce w każdych warunkach, bez martwienia się o sprzęt i światło, zachować swoje wspomnienia na zdjęciach o idealnej jakości. Olympus zawsze był pionierem w kategorii aparatów outdoorowych, a TG-4 posiada wszystkie zaawansowane funkcje, jakich można oczekiwać od lidera w tym segmencie.

Nie dość, że wytrzymała obudowa zapewnia wodoszczelność do 15 metrów, odporność na upadki z 2,1 metra oraz odporność na zgniatanie do 100 kilogramów, to jeszcze TG-4 jest doskonale wyposażony. Aparat ma matrycę o rozdzielczości 16 megapikseli i obiektyw o ogni-

Cena: ok. 1750 zł
www.olympus.pl



skowych 25-100 mm. Na pochwałę zasługuje superjasna optyka, z minimalną przysłoną f/2,0.

po świecie i jeszcze nigdy mnie nie zawiódł”. Farelly mówił o poprzednim flagowym modelu TOUGH, ale bez wątplenia dotyczy to także nowego TG-4. Aparat sprawdza się nawet w niekorzystnych warunkach oświetleniowych, gdy niskie wartości ISO i krótkie czasy migawki mogą być kluczowe – np. 15 metrów pod wodą, gdzie TG-4 radzi sobie bez specjalnej obudowy i dodatkowego światła.

Funkcja Live Composite pozwala uchwycić ruch gwiazd na niebie, zachowując jednocześnie widoczne na ziemi źródła światła, np. jasno oświetlony namiot na kempingu. Spektakularne ujęcia natury są bez wątpienia najbardziej pociągającym tematem w czasie wypraw i wycieczek, dlatego TG-4 wyposażony został w zaawansowany system Variable Macro, który pokrywa zasięgiem 29 cm: zaczynając od 30 cm, kończąc zaledwie 1 cm przed obiektywem. Posiada on cztery tryby: Mikroskop, Kontrola Mikroskopowa, Bracketing Ostrości i Fokus Stacking. W trybie Mikroskopowym synchronizacja lampy błyskowej z dłuższymi czasami migawki poprawia kontrast i zapobiega prześwietleniom, kiedy fotografowany obiekt jest blisko obiektywu. TG-4 potrafi powiększać obraz aż do 13,8x w Super Rozdzielczości. Bracketing Ostrości robi kilka ostrych zdjęć tej samej sceny, ustawiając ostrość na różne obiekty, pozwalając później wybrać najlepsze ujęcie.

Pozwala to robić zachwycające, pełne barw zdjęcia. Jak powiedział alpinista, podróżnik i fotograf Ed Farelly: „Od s z c z y t ó w po głębiny, w upale i na mrozie, ten aparat towarzyszył mi w podróżach

Również pletwonurkowie na pewno docenią przydatne funkcje: Podwodny HDR, wbudowany manometr, wygodne w obsłudze (nawet w rękawiczkach) programowalne pokrętko trybów i cztery różne tryby makro. Z innych nowości znajdziemy tu także Autofokus Obszaru pozwalający na kontrolę ostrości w określonym obszarze ujęcia. Użytkownikom, którzy lubią edytować swoje zdjęcia w komputerze, TG-4 oferuje wsparcie dla RAW-ów. Tak samo użyteczna jest wbudowana obsługa Wi-Fi i aplikacji OI.Share. Połączenie bezprzewodowe pozwala na łatwe przesyłanie plików na inne urządzenia



i publikowanie wykonanych zdjęć oraz nagranych aparatem filmów w jakości HD 1080p na portalach społecznościowych. Dodatkowo można zdalnie kontrolować aparat poprzez smartfona z aplikacją OI.Share. Zdalne ustawianie samowyzwalacza może być przydatne przy robieniu selfie, można też wybrać zdjęcia sekwencyjne, z interwałem czasowym, lub robić zdjęcia z oddali tym zwierzętom, które z natury unikają kontaktu z człowiekiem. Można też zwalniać migawkę bezpośrednio z telefonu i od razu sprawdzać, jak wyszło selfie.

Dla każdego, kto chce przenieść fotografowanie na wyższy poziom, TG-4 ma duży wybór dedykowanych akcesoriów, co spodoba się szukającym wrażeń snowboardzistom, kitesurferom oraz zaawansowanym pletwonurkom. Wśród akcesoriów znajdują się: Sport Holder, pozwalający przypiąć aparat do uprząży, konwertery obiektywów, pływający pasek, przystawka kierująca światło LED oraz obudowa wodoszczelna do głębokości 45 m. ○

Panie na prawo, panowie na lewo

Pierwsze, dość prymitywne Łazienki Północne w Sopocie wybudował Jerzy Haffner w latach 1824-27.

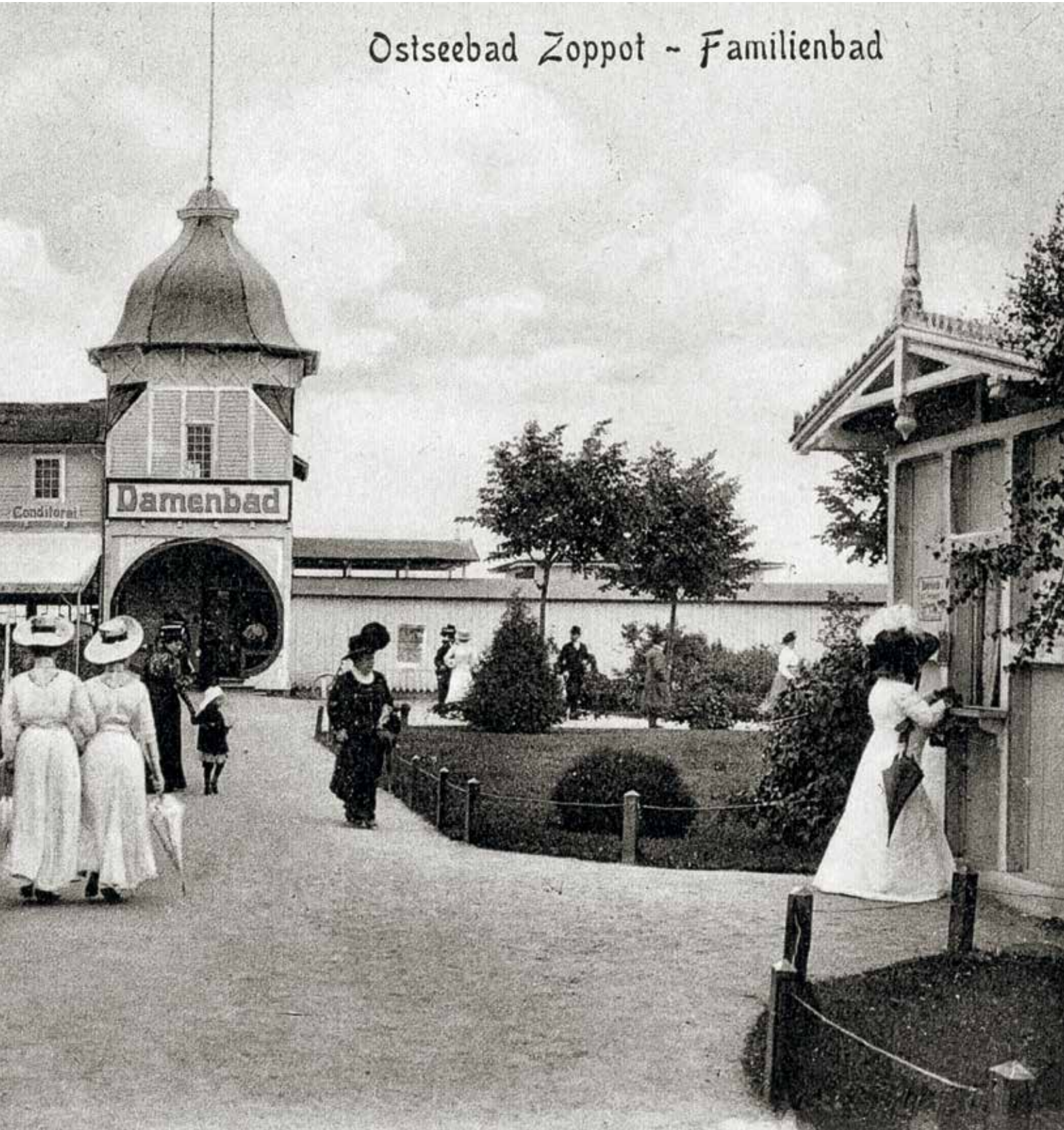
Drugie, widoczne na zdjęciu, wybudowane zostały według projektu Paula Puchmüllera w 1903 roku. Miały trzy oddzielone od siebie części: wyłącznie dla pań (Damenbad), panów (Herrenbad) i rodzinne (Familienbad). Prywatności zażywających kąpiele morskich chronili stójkowi.

W Łazienkach poza 340 kabinami był basen oraz miejsce do opalania, a na brzegu przyrządy gimnastyczne. Ponadto do dyspozycji gości była restauracja oraz łaźnie z wodą słodką, słoną oraz wszelkie rodzaje kąpiele leczniczych, takich jak borowinowe czy elektryczne. Miejscowej ludności robotniczej i dzieciom szkolnym miasto oferowało bezpłatne kąpiele. Zdjęcie wykonano około 1905 roku. Dziś stoi tu budynek Zatoki Sztuki.

Więcej o Łazienkach w najnowszej książce Wojciecha Fułka i Tomasza Dobrowolskiego pt. „Może plaża”.



Ostseebad Zoppot - Familienbad





SZWAJCARSKI PRZYJACIEL



GRECJA – HIPOKRATES Z KOS



SZCZĘŚCIE W EMIRATACH

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Józef Baran, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Marta Natalia Wróblewska

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury, Maciej Jurkowski, Kryspin Waliszewski

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Reklama agencyjna
Anna Szkołut
tel. 721 689 290

Reklama regionalna
Olga Kołakowska
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

strefa Wellness (basen, jacuzzi, sauna sucha, łaźnia parowa) grota solna



Ćisiec, ul. Turystyczna 1
34-350 Węgierska Górką
recepcja tel: +48 33 860 15 10
marketing tel: +48 33 860 15 15



email: recepcja@hotelzacisze.pl
www.facebook.com/zaciszehotel

www.hotelzacisze.pl



pokoje i apartamenty

restauracja

plac zabaw dla dzieci



gabinety SPA



sale konferencyjne



OLYMPUS

OM-D

REDUCED TO PERFECTION

**LETNIA
OFERTA**

AŻ DO 650 zł
WRACA NA KONTO!*



Spójrz na podróże w zupełnie nowy sposób

Chcemy podziękować Ci za trafny wybór: otrzymasz bonus za zakup każdego z produktów przedstawionych powyżej. Najlepszy sprzęt do zabrania ze sobą w podróż – odkryj możliwości OM-D E-M10 i korzystaj z szerokiego wyboru doskonałych obiektywów systemu Mikro Cztery Trzecie.

*Odbierz bonus już dzisiaj na stronie www.olympus-europa.com/summerspecial. Podaj swoje dane i odbierz bonus w wysokości 650 zł (za zakupy M.ZUIKO DIGITAL ED 9-18mm 1:4.0-5.6 oraz M.ZUIKO DIGITAL ED 14-150mm 1:4.0-5.6 II), 550 zł (za zakup M.ZUIKO DIGITAL ED 75-300mm 1:4.8-6.7 II), 430 zł (za zakup OM-D E-M10) lub 200 zł (za zakup M.ZUIKO DIGITAL 45mm 1:1.8). Gotówka przelana zostanie na Twoje konto bankowe. W promocji biorą udział zakupy dokonane pomiędzy 12 maja a 31 sierpnia 2015. Prosimy o zapoznanie się ze szczegółowymi warunkami promocji.

ZUIKO
LENS SYSTEMS